

Elizabeth Harbison
Światło Wenus

PROLOG

Minęło dziesięć lat, odkąd Teresa, księżna Korsarii samodzielnie prowadziła samochód.

Tego wieczoru z zazdrością spoglądała przez okno swego apartamentu w waszyngtońskim hotelu „Four Seasons”, obserwując ludzi na Pennsylvania Avenue. Chodzili, jeździli samochodami lub po prostu stali na rogu, a żadne z nich nie podejrzewało nawet, jakie to szczęście móc wyjść na ulicę bez strofowania przez ochronę.

Księżna Teresa spędziła pierwsze dwadzieścia jeden lat życia w Liberty w stanie Ohio jako Tess McDougall i pamiętała, jak to było. Do chwili gdy w wieku dziewiętnastu lat pojechała do Anglii w ramach wymiany studentów, pies z kulawą nogą nie interesował się jej poczynaniami. Aż kolega z grupy, Philippe Carfagni, umówił się z nią na randkę.

Wówczas nagle znalazła się w centrum uwagi.

Okazało się bowiem, że Philippe Carfagni był również księciem Korsarii, małego, lecz uroczego państewka na włoskim wybrzeżu.

Ich romans był oszałamiający. Ślub zgromadził wszystkie europejskie koronowane głowy, a uroczystość w każdym calu przypominała baśń, w której zabójczo przystojny książę zabiera swą ukochaną do pięćsetletniego zamku nad morzem.

Powinna była przewidzieć, że skaliste brzegi pod zamkiem są tyleż piękne, co niebezpieczne.

Tess myślała, że szczerze darzy uczuciem Philippe'a i upłynęło dużo wody, zanim uświadomiła sobie, że tak naprawdę to pokochała ideę bycia zakochaną w księciu. Tymczasem jej wyobrażenie o księciu legło w gruzach, bo mąż okazał się zepsutym, żądnym silnych wrażeń kobieciarzem.

To nienasycenie stało się półtora roku temu przyczyną zguby Philippe'a. Podczas wyprawy w Alpy szwajcarskie ścigał się ze swym ochroniarzem na niebezpiecznym zboczu. Obu porwała niewielka lawina, czyniąc z Tess księżną wdowę pograżonego w żałobie kraju.

Choćby ze względu na młodszą siostrę Philippe'a, Marię, Tess powinna wrócić do USA, gdy tylko skończył się okres żałoby.

Niestety, nie zrobiła tego, więc magazyny i brukowce nadal poświęcały jej więcej uwagi, niż było naprawdę warto. Co gorsza, wciąż otaczali ją ochroniarze, którzy twierdzili, że ta okolica jest dla niej niebezpieczna, zakupy w tym sklepie są zbyt ryzykowne, ulubiona restauracja zbyt popularna i tak dalej. Wiedziała, że mieli jak najlepsze intencje, ale czuła się ubezwłasnowolniona.

- Proszę pani? - Ostry głos Gary, sekretarki Tess, wyrwał ją z zamyślenia.

- Przepraszam. - Tess rzuciła ostatnie spojrzenie przez okno i odwróciła się. - Na czym skończyłaś?

- Fundacja bodeńska przekazała informację, że na dzisiejszej kweście zgromadzono około miliona trzystu tysięcy dolarów na badania nad rakiem piersi.

-- To wspaniale - klasnęła Tess. - A więc jednak warto było przyjechać.

Podeszła do szafy i zdjęła dopasowaną do granic możliwości sukienkę. Była wspaniała i niepraktyczna, jak większość otaczających ją przedmiotów.

- Wciąż czekają panią inne obowiązki - zauważyła Clara. - Spotkanie z ambasadorem...

Tess zjeżyła się, przypominając sobie poprzednie. Ambasador przez dwie godziny usiłował się jej oświadczyć.

- ...otwarcie nowego sklepu korsariarskiego stylisty Luigiego...

Luigi od lat usiłował podpieścić się jej nazwiskiem w swych niezbyt czystych interesach, które przyniosły mu krocie. Nie zamierzała mu w tym pomagać.

- Odwołaj to. - Zatrzymała się w pół kroku przed szafą, z suknią w ręku. - Spotkanie z ambasadorem również. Powiedz im, że źle się czuję. - Włożyła jedwabną pidżamę.

- Oczywiście, proszę pani. Jest pani pewna?

- Jak najbardziej. - Odwiesiła suknię do szafy i położyła się do łóżka. - Czy w tym tygodniu mamy coś godnego uwagi?

- Tylko przyjęcie dobroczynne fundacji „Kocięta w potrzebie”. No i...

Tess zobaczyła już te nagłówki: „Księżniczka kocich pampersów” lub coś jeszcze gorszego.

- Odwołaj wszystko na przyszły tydzień.

- Oczywiście, proszę pani. - Clara zerknęła na nią z powątpiewaniem, zabrała notes, ołówek i wyszła.

Tess popatrzyła w ślad za nią, potem zgasiła światło. Leżała z mocno bijącym sercem. Nie wytrzymała już takiego życia. Koty w potrzebie, zepsuci projektanci mody, lubieżni ambasadorzy... nie tak wyobrażała sobie swoje życie. Chciała być pożyteczna dla społeczeństwa, nieść prawdziwą pomoc. Kiedyś marzyła o karierze nauczycielki w szkole podstawowej. To byłoby chyba bardziej owocne zajęcie.

Wierciła się w pościeli przez trzy godziny, aż wreszcie wstała z łóżka i znów podeszła do okna. Samochody wciąż zapełniały jezdnię, a mimo późnej pory zdumiewająco wiele osób spacerowało, ciesząc się czerwcową nocą.

Pragnęła być jedną z nich, zacząć wszystko z czystym kontem. Czemu nie? Maria wkrótce zajmie jej miejsce w Korsarii. Wówczas nie będzie musiała tam wracać. Rozpocznie nowe życie.

Ta myśl przyprawiła ją o szybsze bicie serca. Nowe życie. Czemu nie od zaraz? Przecież Clara odwołała wszystkie spotkania w przyszłym tygodniu. Po raz pierwszy od lat Tess miała czas dla siebie i chciała cieszyć się nim w samotności.

Decyzję podjęła w ciągu paru minut. Pojedzie do Sapphire Beach na wybrzeżu Karoliny Północnej, gdzie w dzieciństwie spędzała wakacje. Bez sekretarki, bez ochrony, bez kogokolwiek, kto mógłby zakłócać jej prywatność. Tess postanowiła wybrać się na urlop.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wyjechała o szóstej rano.

Nikomui nie powiedziała, co zamierza zrobić. Wiedziała, że spróbują ją zatrzymać, a przynajmniej będą nalegali, żeby dokładnie powiedziała dokąd i po co jedzie. To zepsułoby całą przyjemność.

Tess wrzuciła trochę rzeczy do torby podróźnej i wzięła tysiąc dwieście dolarów z rezerwy gotówkowej trzymanej na nieprzewidziane sytuacje. Potem przy intarsjowanym biurku napisała liścik, że wybiera się „odwiedzić przyjaciół” i nie życzy sobie, by ktoś jej szukał. Była pewna, że Clara uszanuje jej prywatność, mimo iż będzie się o nią bardzo niepokoila.

W godzinę później, po przedstawieniu międzynarodowego prawa jazdy i wręczeniu sześciuset dolarów handlarzowi używanych samochodów z firmy „Nie ufaj mi!”, jechała Connecticut Avenue w odrapanym volkswagenie garbusie. Wspaniałe uczucie. Stojąc pod światłami, włączyła radio i kręciła gałką, aż usłyszała starą piosenkę Petera Gabriela, która przypomniła jej studenckie czasy. Pozwoliła zapomnieć o oficjalnych obiadach i wytwornych przyjęciach.

Gdy jechała, nucąc wraz z Peterem, czuła się odmłodzona o dziesięć lat.

Jechała na plażę. Prawie czuła zapach cukrowej waty i słonego powietrza.

Pięć godzin później jej optymizm zgasł, podobnie jak silnik samochodu. Volkswagen rozkraczył się na szerokiej, lokalnej drodze tuż za tabliczką: „Witajcie w Mayford, Karolina Północna (3213 mieszkańców)”. Próba uruchomienia auta okazała się bezskuteczna. Garbus padł na dobre.

Sięgnęła na siedzenie pasażera po torebkę, by wezwać pomoc drogową przez telefon komórkowy, ale torebki nie było. Jak przez mgłę przypominała sobie moment, w którym kładła ją na biurku handlarza samochodów. Czy zabrała ją z powrotem? Miała taki zamiar, ale...

- Do licha. - Wysiadła z auta i trzasnęła drzwiami. - Czemu akurat teraz? Czy nie należy mi się te kilka dni? A może żądam zbyt wiele? - Otworzyła pokrywę silnika, ale nie doszła do żadnych wniosków.

Westchnęła. Co tu robić? Jeśli nie znajdzie warsztatu albo mechanik nie zdoła naprawić samochodu, będzie musiała kupić inny lub zadzwonić po pomoc. Oba wyjścia były równie złe.

Rozejrzała się ze zdumieniem, stwierdzając, że miasteczko wygląda uroczo. Zabytkowa poczta sąsiadowała ze sklepem z zabawkami. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się restauracja. Po drodze Tess zatrzymała się, by kupić paczkę gumy do żucia i wodę, płacąc pięćdziesięciodolarowym banknotem, który miała w kieszeni. To znaczy, że zostało jej czterdzieści osiem dolarów na wykaraskanie się z kłopotów.

Postanowiła wypić kawę, przekąsić ciastkiem i zastanowić się nad sytuacją.

Podniesiona na duchu myślą o ciastku spróbowała zatrasnąć pokrywę. Ta jednak zacięła się. Zgrzytając zębami, Tess wzięła się za nią z całej siły. Pokrywa ustąpiła nagle, a Tess, tracąc równowagę, zatoczyła się na jezdnię. Wprost pod wyłaniającą się zza rogu furgonetkę.

Doktor Dylan Parker miał dziś kiepski dzień, a jeszcze nie nadeszło południe.

W zwykły dzień wystarczająco absorbowała go praktyka. Oprócz tego, Dylan był burmistrzem Mayford. Nieco krępował go ten tytuł, na szczęście nie przepracowywał się zbyt, bo miasteczko było niewielkie. Jednak ktoś musiał wystawiać czeki na naprawę dziur w jezdni lub świąteczną iluminację głównej ulicy, więc przyjął tytuł „Jego Wysokości”. Prawdę mówiąc, Dylan nie chciał tego zaszczytu, lecz sam się w to wrobił, niebacznie proponując kilka mądrych oszczędnościowych posunięć na zebraniu rady miejskiej.

Medycyna pozostała podstawowym zajęciem Dylana, co potwierdził dzisiejszy poranek. Barbara Lee, jedyna położna w Mayford, bawiła na wakacjach, więc Dylan jako internista przejął jej pacjentki. Nim przed czterema dniami wyjechała na wakacje, zapewniła go, że żadna z jej podopiecznych nie jest bliska rozwiązania.

Dlatego zdumiał go telefon od Mary Lyons, która poinformowała go o 5:30 rano, że pomimo trzydziestego piątego tygodnia, ma typowe objawy przedporodowe. Dylan wyskoczył z łóżka i pojechał do niej, pragnąc wyjaśnić syndrom Braxtona-Hicksa wywołujący fałszywe oznaki. Musiał odebrać poród. Chłopiec był zdrowy i śliczny, ale rodził się ciężko. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

Kiedy tylko matka i dziecko znaleźli się w szpitalu, ponownie odezwał się przywoływacz doktora. Harry Murphy znów uskarżał się na gościec i chciał zobaczyć się z Dylanem. Pojechał mimo zmęczenia.

Stało się to, gdy jechał przez miasto, znużony pracowitym porankiem. Nagle przed maską wyrosła mu kobieca postać. Zareagował z minimalnym opóźnieniem, wbijając nogę w hamulec. Nie zdążył. Furgonetka z głuchym łoskotem uderzyła kobietę, odrzucając ją o kilka metrów.

Zaciągnął hamulec ręczny i wyskoczył, nie zamykając nawet drzwi.

- Proszę pani - zawołał, klękając przy niej. Zerknął na posiniaczone czoło i podrapane ręce i nogi.

Jedną kostkę miała wykręconą.

- Czy pani mnie słyszy?

Leżała bez ruchu.

Zbadał jej puls. Silny, dzięki Bogu! Nie powinna mieć wewnętrznych wylewów.

- Co się stało, Dylan? - dobiegł go głos z niedaleka. Listonosz, Bob Didden, przyglądał się temu z niepokojem na swej pociągłej twarzy.

- Potrącił ją samochód? - bardziej stwierdził niż spytał Bob.

- Tak - odparł zwięźle Dylan.

- Wszystko widziałem, Dylan - powiedział szeryf Mose Lambert, wycierając usta serwetką w drzwiach restauracji Noli. - To nie była niczyja wina.

Dylan wiedział, że jego.

- Wniosłem ją do środka? - spytał Bob.

- Nie chcę jej ruszać - pokręcił głową Dylan - dopóki nie upewnię się, że nie ma złamanego karku.

- OK, doktorze.

- Sprawdzę jej auto, może znajdę jakiś dokument tożsamości - odezwał się Mose, podciągając spodnie na spory brzuszek. - Carolyn, kochanie - wybrał z tłumy gapiów najładniejszą dziewczynę - pomożesz mi?

- Z przyjemnością, szeryfie - zarumieniła się Carolyn. Za młodu Mose był najprzystojniejszym mężczyzną w mieście i nawet wystąpił w piętnastosekundowym epizodzie w filmie klasy „B”, czym szczycił się nie mniej niż odznaką.

Dylan znów skupił się na nieprzytomnej kobiecie i zaczął sprawdzać, czy nie złamała sobie czegoś.

Była bardzo piękna i żał mu było patrzeć na smukłe ręce i długie, zgrabne nogi spoczywające bezwładnie na asfalcie. A wszystko to przez jego nieuwagę.

Miał nadzieję, że nie odniosła poważniejszych obrażeń.

Oskarżał się, że jechał zbyt szybko. Po odebraniu siedmiu wezwań do wizyt domowych, chciał jeszcze przed południem wrócić do gabinetu i przekąsić coś przed popołudniowym dyżurem w klinice.

Spieszył się i oto skutek.

Delikatnie odwrócił leżącą na plecach, dziwiąc się, jaka jest lekka. Związane w węzeł włosy przeszkadzały położyć równo głowę. Rozwiązał go i jasnoblond fale rozsypały się po asfalcie.

- Żadnych dokumentów - powiedział Mose, wracając. - Tylko torba z ubraniami. Ani portfela, ani prawa jazdy, nic - skrzywił się. - Nie rozumiem, czemu ludzie nie mają przy sobie dokumentów choćby na taki wypadek. Nawet ja się z nimi nie rozstaję.

- Musi być jakiś sposób, by ją zidentyfikować...

- Sprawdzę numery rejestracyjne, ale zajmie to kilka dni. Są niestety tymczasowe.

- Miejmy nadzieję, że sama powie nam to za parę minut - rzekł z powątpiewaniem Dylan. Nie wyglądała na zdolną do pogawędki przez jakiś czas.

Tymczasem doktora i jego pacjentkę otoczył tłum gapiów. Ethel Moore wysunęła się naprzód i pochyliła nad badającym poszkodowaną Dylanem. Poznał ją po ciężkim, słodkim zapachu perfum.

- Spójrzcie. Jest urocza. Jak księżniczka z bajki.

Z głęboką czerwoną szramą na czole przypominała zdaniem Dylana raczej ofiarę wypadku w ciężkim stanie.

- Nic jej nie będzie? - spytała zatroskana Ethel.

- Mam nadzieję.

- Na szczęście był tu lekarz - odezwał się ktoś w akompaniamencie zgodnego pomruku.

Na szczęście?

Gdyby go nie było, kobieta nie ucierpiałaby wcale. W tym momencie jęknęła i przetoczyła się na bok. Bogu dzięki, pomyślał Dylan.

- Ostrożnie - powiedział, kładąc dłoń na jej ramieniu, by nie zerwała się zbyt szybko.

Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem i usiadła niepewnie. Dotknęła czoła i jęknęła.

- Cóż - rzekł głosem zdradzającym zdenerwowanie - obawiam się, że poboli przez kilka dni.

Nadal patrzyła na niego nieobecny spojrzeniem.

- Czy pani mnie rozumie? - Dylan przestraszył się, że kontuzja głowy może być poważniejsza, niż przypuszczał.

Przez chwilę miał wrażenie, że kobieta chce coś powiedzieć, lecz tylko osunęła mu się w ramiona.

- Wezwać sanitariuszy? - spytał Bob Didden.

- Szybciej będzie przenieść ją do mojego gabinetu - postanowił Dylan. Gabinet oddalony był o pół przecznicy, a Dylan chciał ją jak najprędzej zbadać. Miejscowi sanitariusze nadawali się do opatrywania złamanych czy zwichniętych kończyn, lecz w bardziej wyrafinowanych przypadkach wołał polegać na sobie. - Mose, wyjmiesz nosze z bagażnika? Bezpieczniej będzie ją nieść, niż wozić.

- Sie robi.

- Pomóc? - spytał ktoś.

- Nie, poradzę sobie - odparł Mose. - Mam wprawę.

- Co się stało? - Zjawił się ktoś nowy. - Jedliśmy naleśniki u Noli i usłyszeliśmy pisk hamulców. Kto ją potrącił?

- Ja - odparł Dylan, spoglądając na piękną twarz nieznajomej. Zastanawiał się, kim jest i czemu drży o jej życie.

- Ty? - wydusiła Ethel, przyciskając dłonie do piersi. Wyglądała na zszokowaną. - To nie mogłeś być ty, Dylan.

Wielu myślało podobnie. Miejscowi widzieli w nim człowieka, który ratuje życie, a nie odbiera go. Jeśli ta kobieta umrze, jak będzie mógł spojrzeć im w twarz?

Zjawił się Mose, triumfalnie niosąc nosze nad głową i Dylan delikatnie podniósł nieprzytomną kobietę. Nie dopuszczał do siebie myśli, że coś pójdzie nie tak. Ona wyzdrowieje. Musi. A on, Dylan, dopilnuje tego osobiście, choćby musiał poświęcić jej każdą wolną chwilę.

Tess obudziła się z potwornym bólem głowy i zaschniętym gardłem.

- Che cosa? - mruknęła po włosku, bo tym językiem posługiwała się przez ostatnie dziesięć lat w Korsarii. Mrugając ciężkimi powiekami, usiłowała zrozumieć, gdzie się znajduje. Najwyraźniej leżała na stole w staroświeckim gabinecie lekarskim.

Na ścianie wisiała mapa oka, a w rogu stał szkielet. Ktoś włożył mu na głowę melonik i powiesił stetoskop na szyi. Na wypolerowanych półkach stały rzędy butelek i słoiczków z błyszczącymi, metalowymi nakrętkami.

- Coś pani mówiła? - Przejęty głos dobiegał gdzieś z boku. Rozległy się kroki i jakiś mężczyzna spytał: - Obudziła się pani?

Z trudem docierał do niej sens tych słów.

- Dove sono? - wyszeptwała ledwo dosłyszalnie. Angielski, podpowiedział jej głos wewnętrzny - mów po angielsku. - Gdzie jestem?

Zobaczyła przed sobą twarz. Nie jakieś tam pospolite oblicze, lecz bardzo przystojnego mężczyznę. Kasztanowe włosy, nieco przydługie, zakręcały się niesforne nad kołnierzykiem. Oczy miał nieprzyzwoicie szmaragdowe.

To musi być dalszy ciąg jej snu.

- Czy pani mnie rozumie? - spytał.

Tego nie ma na ogół w snach. W dodatku cała była obolała i sztywna.

- Czy pani mnie słyszy? - Dotknął ręki Tess. Skinęła głową. Miała wrażenie, że pod jej czaszką jest pełno kamieni. W miejscu, gdzie jej dotknął, poczuła żar.

- To dobrze - powiedział, wpatrując się w jej twarz. - Jestem lekarzem. Miała pani wypadek, ale wszystko będzie dobrze. Rozumie mnie pani?

- Tak - wydusiła. Zaczęło się jej wszystko przypominać: podróż do Sapphire Beach, popsuty samochód, pisk hamulców, potem ból.

To nie jest sen, to koszmar.

- Chciałem przeprowadzić kilka testów - rzeki lekarz. - Zgoda? - Wyglądał na tak przejętego, że zapragnęła go pocieszyć.

- Byle nie z matematyki. - Próbowała się uśmiechnąć, ale usta miała ściągnięte.

Roześmiał się z wyraźną ulgą.

- Nieco elementarnej algebry. Drobne obliczenia.

Tess jęknęła.

- Cieszę się, że nie ucierpiało poczucie humoru. - Wyjął małą latarkę z kieszeni. - Teraz nieco poświęcę w oczy. -Przez chwilę wodził promieniem światła tu i tam, potem schował latarkę z powrotem. - No tak, źrenice rozszerzone zgodnie z przewidywaniami.

- Moja głowa... - Tess uniosła rękę.

- Boli jak diabli?

- Tak.

- Określiłbym to jako niezłe wstrząśnienie mózgu. Podejrzewam również złamaną kostkę, ale nie chciałem ruszać nogi, póki się pani nie obudzi.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła kobieta w białych spodniach i jasnoniebieskiej bluzce. Zerknęła na Tess.

- Jak się czuje?

- Sądzę, że wyzdrowieje, Sarah. Będzie dobrze.

- Super. - Sarah uśmiechnęła się do Tess i zwróciła się do doktora: - Dzwonił dyrektor liceum. Powiedział, że burmistrz musi coś zrobić ze sprawą starego domu Hotchkissa.

- Nie może porozmawiać z Lane Bishop?

- Woli z tobą, bo przecież jesteś burmistrzem. Mężczyzna westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Powiedz mu, że oddzwonię - odparł, nie spuszczać Tess z oka.

- Sie robi. - Sarah skłoniła się, spojrzała współczująco na Tess i wyszła.

- Kim pan jest? - spytała Tess, gdy kobieta wyszła.

- Dylan Parker. Doktor Dylan Parker - dodał, by ją uspokoić. - Jest pani w moim gabinecie w Mayford, Karolina Północna.

- Ale ona powiedziała, że jest pan burmistrzem. - Machnęła w stronę drzwi, za którymi zniknęła Sarah.

- To małe miasto - rozłożył ręce. - Mamy więcej kapeluszy niż głów, więc czasem nosimy po dwa.

- Wydaje mi się, że ma pan tylko jedną głowę.

- To dobrze - uśmiechnął się Dylan. Taki uśmiech zerwałby na nogi zdrową kobietę, ale Tess nie miała siły. - To dobry znak. Ile palców pani widzi? - Ułożył dłoń w znak zwycięstwa.

- Dwa. - Dotknęła czoła. - Oczy mam w porządku, chodzi o resztę głowy, a właściwie to, co z niej zostało.

- Jest cała, daję słowo. - Spojrzył w oczy Tess. - Chce pani napić się zimnej wody?

Zabrzmiało to cudownie.

- Tak, proszę.

- Zaraz wracam. Proszę tu poczekać - błysnął w uśmiechu białymi zębami. - I tak jest pani za słaba, by uciec.

Miał rację. Ale musiała iść. Popsuł się jej samochód. Musi znaleźć mechanika i ruszać w drogę, dotrzeć do Sapphire Beach. Czas płynął nieubłaganie i nie mogła go marnować.

Dylan wrócił z papierowym kubkiem wody.

- Dobrze, pomożemy troszkę - powiedział i podsunawszy dłoń pod kark, uniósł ją nieco. Drugą ręką przystawił jej kubek do ust, by mogła się napić.

- Dzięki - powiedziała, gdy skończyła i oparła się o jego rękę. Spokojnie wytrzymał jej ciężar. Poczła się bezpieczna. Bardzo powoli położył ją z powrotem.

- Chce pani więcej?

Pokręciła przecząco głową i jęknęła.

- OK, badamy dalej. Muszę upewnić się, że wszystko działa. - Podeszedł do jej stóp. - Proszę poruszać palcami.

Poruszała.

- Świetnie - rzekł wyraźnie uspokojony. Chwylił ją za łydki i ścisnął. - Czy pani coś czuje?

Przesunął palce wyżej

- A teraz?

- Tak.

Położył ręce na udach.

- Teraz?

- Tak. - Miała nadzieję, że nie posunie się dalej, bo czuła coś więcej, niż zwykły dotyk. Na szczęście nie posunął się.

- To wspaniale. - Ręka nieco dłużej zatrzymała się na udzie. - Dobra odpowiedź.

- Co mi się stało? - spytała, oprzytomniawszy nieco. - Samochód mi nawalił... zajrzałam do silnika. A potem, cóż, tak jakby uderzyła mnie ciężarówka.

- Uderzyła panią ciężarówka - potwierdził. - Moja.

- Pańska?

- Tak mi przykro - pokiwał głową.

- Zacięła się pokrywa silnika - powiedziała, przypominając sobie powoli. - Zajrzałam tam, ale niczego nie wypatrzyłam. Kiedy próbowałam ją zatrasnąć, zacięła się. Naparłam, ona opadła, a ja zatoczyłam się na jezdnię.

- A ja panią potrąciłem. To moja wina. Oczywiście, pokrywam wszystkie koszty leczenia i zakwaterowania.

- Nie, to nie pańska wina - odparła, przypominając sobie szczegóły. - Byłam nieostrożna.

- Ja również, zwłaszcza że prowadziłem samochód -uśmiechnął się. - Teraz lepiej skupmy się na pani zdrowiu. O tym, kto zawinił, możemy podyskutować potem.

Usiłowała wstać, lecz pokój nagle zawirował i położyła się z powrotem.

- Moja głowa... Czy to wstrząśnienie mózgu?

- Tak - skinął głową. - Czuje się pani nieco skołowana. Czy szyja również boli?

- Chyba nie. - Ból głowy przyćmiewał inne doznania.

- A jak kostka? - Ledwie jej dotknął, gdy przeszył ją dotkliwy ból.

Krzyknęła.

- Tak właśnie myślałem. Pięknie skręcona. Z powodu wstrząśnienia mózgu nie mogę podać środka przeciwbólowego, ale przynajmniej zrobię kompres z lodu.

- Nie chcę lekarstwa - zaprotestowała. - Muszę jechać. Pokręcił głową i podszedł do lodówki.

- Nie dzisiaj.

- Ale ja muszę.

- Nigdzie pani nie pojedzie przez dzień czy dwa - rzekł stanowczo. Wziął woreczek z lodem. - Muszę obserwować panią przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

- Dwadzieścia cztery godziny! - Usiłowała wesprzeć się na łokciu. - Mam tylko kilka dni.

- Kilka dni, i co dalej? - Zerknął na nią bacznie.

I wróć do prawdziwego życia, pomyślała z żalem. Jednak nie chciała zwierzać się obcemu, że ucieka przed własnym życiem.

- Nie wiem... - odparła niepewnie, kładąc się z powrotem. - Nie planowałam pobytu w tym mieście.

- A gdzie? - Położył woreczek z lodem na jej kostce. Czuła na stopie silne palce doktora. - Czy mam do kogoś zadzwonić?

Byle nie to!

- Jechałam do... - zawahała się. Nie może tego wyjawić. Jeśli odkryje, kim ona jest, jeszcze powie coś prasie. Nici z marzeń o prywatności.

- Jechała pani do...? - powtórzył.

- Nie wiem. - Umysł miała zbyt ociężały, by ułożyć naprędce jakąś wiarygodną historijkę.

- Nie pamięta pani? - zmartwił się.

Wydawało się to wygodną wymówką, więc skinęła głową.

- Jestem nieco oszołomiona.

Poważnie się zaniepokoił. Popatrzył jej badawczo w oczy.

- Jak się pani nazywa?

Przełknęła ślinę. Jeżeli mu powie, to koniec. Może się pożegnać z namiastką wolności. Nie podda się z powodu głupiego bólu głowy. Jutro poczuje się lepiej, może nawet dziś. Wtedy pojedzie.

- Jak się pani nazywa? - powtórzył Dylan. Jak się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”.

- Nie wiem. - Dotknęła czoła. - Przepraszam, ale jestem nieco zdezorientowana.

- Proszę się skupić. - Wydawał się przerażony. - Czy wie pani, kim jest, skąd pochodzi?

Udawiała, że myśli, potem wzruszyła ramionami.

- Przepraszam, jestem taka... zmęczona. Głowa mi pęka. - Nie cierpiała kłamstwa, ale nie mogła powiedzieć prawdy. Przejechała już taki szmat drogi i nie zamierzała wrócić do wielkiego świata jako skarcone, niegrzeczne dziecko. Wróci z własnej woli. - Wszystko wydaje się nieco zamglone.

- Nic nie szkodzi - powiedział uspokajającym tonem, lecz usta miał nadal zacięte. - Bez obaw, wszystko w swoim czasie.

- Gdybym mogła tylko chwilkę odpocząć - odezwała się Tess. - Poradzę sobie. Kilka minutek i w drogę

- W drogę? - Zielone oczy pociemniały. - Jak to? Przecież nie wie pani, dokąd zmierza.

Fakt. Nielatwo jest kłamać.

- Myślałam, że wszystko przypomni mi się w samochodzie. Może...

- Nic z tego. - Pokręcił głową, jednoznacznie dając do zrozumienia, że powinna o tym zapomnieć. - Nie jest pani w stanie prowadzić...

- Sam pan mówił, że to minie

- ... a poza tym auto jest niesprawne.

- A, tak, samochód. - Zapomniała o tym istotnym drobiazgu. - Wciąż stoi na ulicy?

Pokręcił głową.

- Odnotowali go do warsztatu Merva. Powiedział, że musi sprowadzić jakąś część. Nawet kilka.

- Sprowadzić? - Wiedziała, co to znaczy. Potrwa co najmniej dwa dni, jak nie więcej. - Czy jest tu inny warsztat? Miejsce, gdzie można kupić części?

- Nie. Najbliższy jest dopiero w Billingstown, około sześćdziesięciu kilometrów stąd. - Wzruszył ramionami. - Zatem nigdzie się pani stąd nie ruszy. Witamy w Mayford.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Zdobęde inny samochód - powiedziała Tess ze stanowczością, na jaką pozwalał jej tępy ból głowy. Miała trzy, może cztery dni i nie zamierzała spędzić ich w tym zapyziałym miasteczku, leżąc z zabandażowaną głową w łóżku.

Podszedł do zlewu i odkręcił kran.

- Najbliższa wypożyczalnia mieści się przy lotnisku w Charlotte - rzucił przez ramię.

- To kupię sobie jakiś. Roześmiał się. Bezcelny!

- Poczekamy, aż przypomni sobie pani, kim jest i czy ją na to stać.

Sytuacja komplikowała się coraz bardziej.

- Wiem, że nie lubię słuchać poleceń - oświadczyła.

- Zatem nie jest pani kelnerką - odparł, wyżymając ręcznik. Złożył go kilkakrotnie. - To już coś. - Wrócił i położył jej na głowie zimny kompres. - Teraz lepiej?

- O wiele.

Usiadł niebezpiecznie blisko niej.

- Moja ciotka prowadzi hotelik. Nic specjalnego, lecz jest czysty i przytulny. Może zatrzyma się pani u niej, oczywiście na mój koszt.

Chciała pokręcić głową, lecz ból był zbyt silny.

- Nie mogę zostać.

- Miła pani, przykro mi, lecz nie ma pani wyboru.

Jego upór był czymś niezwykłym. W Korsarii nikt nie ośmieliłby się tak z nią mówić. Wszyscy byli wobec niej nad wyraz uprzejmi, chociaż obgadywali ją za plecami. Doktor Dylan Parker najwyraźniej nie miał żadnych zahamowań.

Z drugiej strony nie podobało się jej, że ktoś śmie ją pouczać.

- Doktorze Parker - odezwała się - czy nie jest pan przypadkiem również komendantem policji w Mayford?

- Nie, czemu pani pyta?

- Bo dopóki nie jestem aresztowana, nie może mnie pan przetrzymywać wbrew mojej woli.

Roześmiał się.

- Nazwijmy to raczej czymś w rodzaju aresztu prewencyjnego. Prowadząc auto w takim stanie, stanowiłaby pani zagrożenie na drodze. Ma pani szczęście, że może odpocząć w bezpiecznym miejscu.

- To zabawne, wcale nie czuję się szczęśliwa. - Spojrzała na niego z wyrzutem. Bezpieczna również nie. Coś we wzroku Dylana Parkera stanowiło jej zdaniem zagrożenie przynajmniej dla jej kobiecej wrażliwości.

- Rozumiem. - Spowaźniał. - Naprawdę nie chcę utrudniać pani życia, proszę mi wierzyć, jednak nie jest pani w stanie jechać dalej o własnych siłach. Ma pani wstrząszenie mózgu. To znaczy, że musi pani wypocząć i dojść do siebie. Nie ma innego sposobu.

Naprawdę nie czuła się na siłach.

- Jak długo powinnam wypoczywać?

- Co najmniej dzień.

- Jeden dzień. Niech będzie.

- Pozostaje jeszcze kwestia naprawy samochodu.

- O to będę się martwiła potem. Czy tymczasem mógłby pan podać mi adres dobrego hotelu?

- Mówiłem, że może się pani zatrzymać u mojej ciotki. Wszystko załatwię.

- Dziękuję, wolałabym nie sprawiać kłopotu. Znajdę hotel.

Uśmiech wywołał u niego dołeczki w policzkach.

- Pochodzi pani z miejscowości dużo większej niż Mayford, prawda?

Mylił się. Korsaria mierzyła zaledwie czterdzieści kilometrów na dwanaście, ale małe rozmiary nadrabiała bogactwem i luksusem.

- Z czego pan to wnioskuje?

- Wypożyczalnie aut, hotele... - uśmiechnął się półgębkiem. - Nie doczekaliśmy się jeszcze tych wielkomijskich udogodnień. Musi się pani przyzwyczać.

- Na szczęście nie zabawię tu aż tak długo.

- Rzeczywiście. - Zmienił jej kompres na głowie i znów poczuła się lepiej.

- Skąd pan pochodzi? - spytała, pragnąc odwrócić jego uwagę od pytań o jej tożsamość.

- Z Seattle. - Wstał i przeszedł się po gabinecie. - Ostatnio mieszkałem w różnych miastach USA. - Wziął termometr, zanurzył go w płynie odkażającym i podszedł do niej.

- Jak pan tu trafił? - zapytała szybko, zanim włożył jej termometr do ust.

- Unika pani moich pytań?

Pokazała na tkwiący w ustach termometr i wzruszyła ramionami.

- No tak - uśmiechnął się. - Ciotka i wujek mieszkali tu od pięćdziesięciu lat. Gdy kilka lat temu wuj przeszedł na emeryturę, zaproponował mi, bym przejął jego praktykę. Miejscowi nie mieli zaufania do młodego lekarza, ale wujek uważał, że lepiej przyjmą jego krewniaka.

- Mmm? - Uniosła pytająco brwi.

- Wcale nie - roześmiał się. - Niektórzy dotąd się na mnie boczą, choć większość przywykła. - Termometr zapisał i Dylan wyjął go. - W normie - oznajmił.

- Czy to znaczy, że mogę jechać?

- Nie. Jest pani uparta, nie ma co.

- Jestem? - Spojrzała na niego obojętnie. - Nic o tym nie wiem.

- Bardzo. A teraz chodźmy do pensjonatu, zanim ukradnie pani auto i ucieknie. Zamierzam obserwować panią przez następne dwadzieścia cztery godziny, by upewnić się, że nie zaśnie pani zbyt głęboko.

- Czy to znaczy, że będzie mnie pan podglądał?

- Będę w pobliżu i zbudzę panią co dwie godziny, by mieć pewność, że nie zapadła pani w katalepsję.

- I jak zamierza pan to zrobić? - oburzyła się. - Chyba nie zostanie pan w moim pokoju!

- Czyżbym mógł zaproponować coś tak niestosownego? - Uniósł brew.

Popatrzyła na niego przymrużonymi oczyma.

- No, nie wiem...

- A czy przyjąłaby pani kiedykolwiek taką niestosowną propozycję?

- Oczywiście, że nie! - zaczerwieniła się.

- To chyba będę musiał znaleźć inną kwaterę - roześmiał się i dodał: - Wcale nie zamierzałem zostać w pani pokoju, tylko zaglądać tam od czasu do czasu.

Tess nie spodobała się wizja mężczyzny kręcącego się nocą po jej sypialni.

- Nie wierzę, że to konieczne.

- Może nie do końca, ale lepiej dmuchać na zimne i chyba z tym się pani zgodzi. Mocno oberwała pani w głowę.

Jak na komendę zatrzęszczało jej w głowie.

- To prawda, ale nie życzę sobie, by w nocy kręcił mi się po pokoju mężczyzna.

Dylan spokojnie odczekał, robiąc pełną zrozumienia minę. Jednak nie ustąpił.

- Odniosła pani obrażenia z mojej winy. Mógłbym poprosić o to pielęgniarkę, ale ma dwoje małych dzieci i wolę nie wyciągać jej na noc z domu do tak błahej, rutynowej czynności.

- To może zostawi mi pan numer telefonu i w razie czego zadzwonię? - zapytała Tess.

- Jeśli uśnie pani zbyt głęboko, jak zdoła zadzwonić?

Tess nie mogła się nadal spierać. Oczywiście nie chciała odrywać młodej matki od dzieci. Pewnie tamta potrzebowała więcej snu niż inni. Lepiej posłuchać rady doktora Parkera. Tess wiedziała wystarczająco dużo o urazach głowy, by ich nie lekceważyć.

Przecież był lekarzem. Na litość boską, nie powinna obawiać się lekarza!

Niestety, ten akurat był zabójczo przystojny, ale na szczęście również sprawny.

- Cóż, w takim razie...

- Zatem postanowione. - Pomógł jej się podnieść. Używał tego samego płynu po goleniu, co jej ojciec. To ją, nie wiedzieć czemu, uspokoiło. - Da pani radę przejść do pokoju z aparatem rentgenowskim?

- Na pewno.

- Doskonale. - Wziął ją pod rękę i pomógł zejść z leżanki. - Proszę się na mnie wesprzeć, nie chcę, by obciążała pani zwichniętą kostkę.

Omam nie osunęła się na podłogę, gdy przeniosła ciężar ciała na lewą nogę.

- O tym właśnie mówiłem - rzekł z przekąsem.

- Przyzwyczajenie.

- Darujmy sobie - odparł, biorąc ją na ręce niczym księżę niosący ukochaną do łóżka.

- Dokąd mnie pan zabiera? - spytała.

- Właśnie tu. - Kopnięciem otworzył drzwi do pokoju, w którym królował olbrzymi aparat rentgenowski. - Musimy się upewnić, że nie ma żadnego złamania. - Posadził ją na

plycie i wziął z kąta ołowiany fartuch. - Przy okazji obejrzę też głowę... - zawahał się. - Czy może być pani w ciąży?

- Absolutnie nie.

- Jest pani pewna? - Zmieszał się.

Była więcej niż pewna. Bardzo chciała mieć dzieci, ale Philippe nie był tym zainteresowany. Nie chciał z nikim więcej dzielić się podziwem i uwielbieniem, a żona i tak za dużo mu tego odebrała. Na dzieci mamy jeszcze czas, mawiał.

A potem już go nie było.

Tego, rzecz jasna, Tess nie mogła wyjawiać doktorowi Parkerowi. Czy wówczas byłby równie życzliwy? Podniosła rękę.

- Nie mam obrączki.

- To akurat o niczym nie świadczy. - Nabrał powietrza i westchnął. Popatrzył na nią. - Zrobimy test.

- Nie ma mowy - zaprotestowała energicznie. - Niech pan posłucha, doktorze, wystarczy mi tych szykan. Nie zamierzam sikać na patyczek.

- Proszę użyć kubeczka - roześmiał się.

- O tym też nie ma mowy. - Zmierzyła go wzrokiem.

- To nie będzie prześwietlenia.

- Dobrze. Co za różnica?

- Jeśli jakaś kość jest złamana - tłumaczył cierpliwie - będę musiał unieruchomić kostkę, inaczej źle się zrośnie.

Zamknęła oczy i rozważała możliwości. Mogłaby zmyślić jakieś imię i nazwisko na czas pobytu w tym miasteczku, albo powiedzieć prawdę i wierzyć, że ten facet nie zadzwoni do redakcji jakiegoś brukowca z rewelacjami na jej temat. Może też zrobić ten głupi test ciąży i mieć nadzieję, że to ostatni kontakt z doktorem Parkerem.

Patrząc z tej perspektywy, sprawa była jasna.

- Proszę dać mi ten patyczek.

Po godzinie Dylan ostrożnie prowadził swą niepokorną pacjentkę, która nie była w ciąży, w stronę pensjonatu ciotki Helen.

- Na miłość boską, Dyl, co zrobiłeś tej biednej dziewczynie? - spytała ciocia Helen, zbiegając ze schodów z szybkością, na jaką pozwalały obfite kształty.

Przyprowadziłem ją do najlepszego pensjonatu w całej Karolinie Północnej - odparł Dylan, uśmiechając się na widok kraśniejących z zadowolenia policzków ciotki.

- Ach, ty. - Uszczypnęła go pieszczotliwie i zwróciła się do Tess: - I co wykazał rentgen? Masz złamaną kostkę?

- Jedyne zwichniętą - wyjaśnił Dylan. - Powinna okładać ją lodem. Jutro może poczuje się już znacznie lepiej.

- Jestem tego pewna. - Helen uśmiechnęła się do Tess. - Więc nie pamiętasz, jak ci na imię?

Pokręciła głową, blond włosy załśniły w słońcu.

- Musimy cię jakoś nazwać. Jak byś chciała? Esmeralda? Anastazja?

- No... nie wiem.

W drzwiach pensjonatu pojawiła się kuzynka Dylana, Velma, która przy głównej ulicy prowadziła salon fryzjerski o wdzięcznej nazwie „Kędziorek”.

- Czy to ją Dyl prawie zabił?

- Ta sama - skinęła głową ciotka Helen.

- Nikogo „prawie nie zabiłem.”

- Wiesz, kogo ona mi przypomina...? - zaczęła Velma, przyglądając się Tess uważnie.
- Ależ nie, to przecież nie może być ona. - Uśmiechnęła się współczująco - Jak ci na imię, złotko?

- Nie pamięta - powiedziała Helen. - Ma chyba coś w rodzaju amnezji. Właśnie usiłujemy nadać jej jakieś imię, póki nie przypomni sobie własnego.

Velma podeszła bliżej.

- Och, nie, to jest naprawdę... - Zakryła dłonią usta. Pacjentka Dylana spuściła wzrok.

- Co jest, Velma? - spytał cicho przez zęby.

- To ona! Nie mogę wprost uwierzyć, że to ona!

Jasnowłosa kobieta drgnęła niespokojnie.

- Velma - rzekł cicho Dylan. Za nic nie chciał wystraszyć biedaczki. - Uspokój się, Velma. Opanuj się.

Velma otworzyła szeroko oczy i skinęła głową.

- Dobrze. Ale czy mogę pomówić z tobą na osobności. Dyl?

- W tej chwili? - westchnął.

- Tak, w tej chwili. - Velma energicznie odciągnęła go o kilka kroków.

- Cóż to takiego pilnego, Velma? - niecierpliwił się. -Jestem zajęty.

- Wiesz, kim ona jest? - spytała teatralnym szeptem.

- Nie - odparł, siłąc się na cierpliwość. - Dlatego właśnie chcemy ją jakoś nazwać, póki sobie nie przypomni, kim naprawdę jest.

Velma była tak podniecona, że ledwo mogła ustać w miejscu.

- To jest - rzekła gestykulując - księżna Teresa.

- Co ty gadasz?

- Księżna Teresa. Z Korsarii. To w Europie. - Velma spoglądała to na blondynkę, to na Dylana. - Koronowana głowa.

- I dlatego zajechała do Mayford odrapanym garbusem. - Dylan wzniósł oczy do nieba.
- Jezu, Velma, powinnaś przestać czytać te brukowce. Wszystko ci się miesza.

- Wcale nie!

- Nie? A ten facet, którego widziałas na wyprzedży? Przysięgałaś, że to Richard Nixon!

- Bo był do niego podobny!

- Po pierwsze wcale nie był podobny, a po drugie, Nixon od dawna nie żyje. - Dylan pokręcił głową. - Ta kobieta nie jest żadną księżną i nie wmawiaj jej tego. Wystarczy, że nie pamięta, kim jest. Nie potrzebuję twoich rewelacji, które potem będzie musiała odkręcać.

- Tym razem się nie myślę, Dyl.

- Owszem, mylisz się.

- Dowiodę, że mam rację.

- Powodzenia. - Wrócił do cioci Helen i blondynki. -Przepraszam za ten incydent. W takich przypadkach zwykle... a niech to, nie mieliśmy takich przypadków. Policja zwyczajowo nazwie panią Jane Doe.

- To zbyt ponure, jak na nią. - Helen spojrzała na kobietę. - A gdyby mówić do ciebie...

- Tess - wtrąciła stanowczo Velma.

- Nie wtrącaj się, Vel... - Dylan nagle urwał. Czy mu się zdawało, czy kobieta wyglądała na zaskoczoną?

Zerknęła na Velmę, potem odwróciła wzrok.

- Z niczym mi się nie kojarzy - rzekła niepewnie.

- A powinno, skoro jesteś sobowtórem księżnej Teresy z Korsarii. Dla rodziny i przyjaciół Tess.

- Doprawdy? - spytała kobieta, unikając wzroku Velmy. - To bardzo interesujące.

- Owszem, bo wyglądasz zupełnie jak ona. - Velma podeszła bliżej. - Przysięgłabym, że jesteś nią.

- Velma - warknęła Dylan.

- Mówię poważnie, Dyl. Nie wie, kim jest. Skąd mamy wiedzieć, że to nie księżna Teresa?

- Bo nie. - Dylan skarcił Velmę wzrokiem. - Skończ z tym wreszcie.

- Możemy mówić ci Tess? - nie ustępowała kuzynka. Kobieta zaczerwieniła się. Było jej z tym do twarzy.

Przez chwilę Dylan niemal uwierzył, że to naprawdę księżna.

- Cóż... Chyba tak.

- No i proszę. - Velma podniosła kciuk. - Mamy imię - powiedziała takim tonem, jakby informowała centrum lotów kosmicznych w Houston o kłopotach.

- Może być Tess? - spytał Dylan zatroskany o bezpieczeństwo emocjonalne pacjentki.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Nie jest złe. Zawsze to lepiej, niż „hej, ty”.

- I ładne. - Dylan zwalczył dziwną chęć dotknięcia jej twarzy. - Zupełnie jak pani.

- A więc Tess - powiedziała Helen, przypatrując się Dylanowi. - Dopóki nie ustalimy jej prawdziwego nazwiska i nie odnajdziemy rodziny lub męża.

To nie ucieszyło Dylana. Oczywiście „Tess” była jego pacjentką, a nie osobą, z którą zamierzał flirtować, więc nie powinno go interesować, czy ma męża. Gdyby go jednak miała, to mąż Tess nie byłby zachwycony faktem, że Dylan, urzeczony jej urodą, chciał jej dotknąć.

- Ona nie ma już męża - recytowała Velma. - Zginął w zeszłym roku, gdy po pijanemu wybrał się na narty. Ścigał się z...

Dylan i Helen spiorunowali ją wzrokiem.

- Wejdz, kochanie. - Helen poprowadziła Tess do wnętrza. - Dam ci najlepszy pokój, Garfielda. Prezydent Garfield kiedyś się tu zatrzymał.

- Naprawdę?

- Tak mi przynajmniej mówiono - mruknęła Helen i zerknęła na Dylana. - Ty, mój chłopcze, dostaniesz pokój Lyntona. Sąsiaduje z pokojem Garfielda.

- Nocował w nim raz Robert Lynton. Wynalazł odbijające się jo-jo.

Tess uniosła pytająco brew.

- Odbijające się jo-jo?

- Tak, nie była to szczególna rewelacja, bo jo-jo nie powinno uderzać o podłogę, ale sprzedał kilka sztuk na początku lat siedemdziesiątych.

- Pewnie dość, by nazwać pokój jego imieniem -uśmiechnęła się Tess.

- Poczekaj, aż zobaczysz ten pokój.

- Nie będzie zwiedzała twojego pokoju, Dyl. To byłoby niewskazane. - Helen uderzyła go żartobliwie.

- Jak tu ładnie - powiedziała Tess, rozglądając się po holu z nieokreśloną miną.

Dylan zastanawia! się, czy mówiła to szczerze. Lubił te podniszczone dywany i lekko zapadnięte wygodne fotele, ale Tess, kimkolwiek była, pochodziła z elegantszego świata. Może i nie pamiętała niektórych szczegółów ze swego życia, niemniej jej osobowość i gust powinny pozostać nie zmienione.

- Twój pokój jest na górze - poinformował ją. Pomógł jej wejść po schodach i dojść do apartamentu Garfielda. Wydawała się zaaferowana wystrojem hoteliku. Kiedy znalazła się wewnątrz, uśmiechnęła się promiennie, co ujęło Dylana.

- Cudowny - powiedziała i pokuśtykała do pokrytego patchworkową kapą łóżka. - Och, miałam taką w dzieciństwie. Piękna...

- Tak? - spytał badawczo Dylan. - Pamiętasz to?

Zaczerwieniła się.

- Hm... Tak. Coś mi się kojarzy, ale nie wiem skąd. - Spojrzała na niego niewinnymi błękitnymi oczyma. - To normalne?

Przypatrywał się jej przez chwilę, zastanawiając się, czy go nie nabiera. Wyglądała tak szczerze, że uwierzył jej.

- To całkiem normalne - zapewnił ją, choć sam niczego nie był pewien. - Pamięć często powraca w takich fragmentarycznych przebłyskach, co jest dobrym znakiem.

- Mam nadzieję - ucieszyła się. Podeszła do okna i podniosła zasłony. - Jaki piękny widok! Co to za rzeka?

Dylan stanął za nią i wyjrzał.

- Mokamuchi - powiedział.

- Mokamuchi. Co to znaczy?

- Podobno tak ją nazwali pierwotni mieszkańcy tych terenów, ale nikt nie zna etymologii tego słowa. Podejrzewam, że przed paru laty wymyśliła to grupka siedmiolatków.

- Mimo to jest piękna - odparła, opierając dłonie o szybę.

Nagle zachwiała się.

- Co ci jest? - spytał zaniepokojony Dylan.

- Nie wiem - dotknęła czoła - tylko... - Kolana ugięły się pod nią i wsparła się o Dylana.

- Ostrożnie - powiedział, podtrzymując ją.

Usiłowała stanąć prosto.

- Przepraszam, nie wiem, co się ze mną dzieje... Podprowadził ją do łóżka.

- To moja wina. Zmęczyłem cię niepotrzebnie - rzekł, poprawiając jej poduszki. - Ciało odmawia ci posłuszeństwa. Odpocznij.

W rzeczy samej, działo się z nią coś dziwnego, zwłaszcza gdy pochylał się nad nią.

- Nic mi nie jest - odparta cicho. To nie obrażenia zewnętrzne zbiły ją z nóg, tylko bliskość Dylana.

Przyjrzał się jej z bliska.

- Jesteś pewna, że nie kręci ci się w głowie?

Wpatrując się w jego oczy, powiedziała:

- Czuję się dobrze. - Zastanawiała się, czy spostrzegł, jak się rumieni, czy słyszy, jak mocno bije jej serce, jak krew tętni w żyłach, gdy jest tak blisko niej.

Przekręcił głowę.

- Wyglądasz na rozpaloną.

- Nie, nie, nic mi nie jest, tylko...

- No, nie wiem. - Dotknął wierzchem dłoni jej czoła, potem policzka. - Nie masz gorączki.

- Pewnie, że nie - usiadła - po prostu nie przywykłam być tak blisko z kimś nieznanym.

- Fakt - rozjaśnił mu się wzrok - przepraszam. - Cofnął się, zabierając dłoń z jej policzka.

W miejscu, gdzie rozgrzewał ją jego dotyk, poczuła nagły chłód.

- Nie musisz przepraszać - odparła, dodając w myślach: ani uciekać.

- Nie chciałem wprawiać cię w zakłopotanie - rzekł, patrząc w jej błękitne oczy. W innej sytuacji wzięłyby ją w ramiona i zaczął całować. W normalnych warunkach nie skończyłyby się na pocałunku.

Ale okoliczności nie sprzyjały takim poczynaniom. Tess była jego pacjentką i to przesądzało o wszystkim. Jeśli ma czuwać nad nią w nocy, nie może tym zapominać.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - To chyba wynika z... mojej sytuacji.

Skinął głową i wstał.

- Musisz odpocząć przez kilka dni. Wielu gości uważa, że kuchnia Helen leczy z wszelkich dolegliwości.

- Nie zabawię tu tak długo - uśmiechnęła się smutno Tess.

- Masz inne plany? - Oparł się o framugę drzwi.

- Prawdę mówiąc, tak.

- A mianowicie?

- Nie jestem całkiem pewna - zawahała się.

- To skąd wiesz, że masz jakieś plany?

- No... - zaczerwieniła się - chyba dokądś jechałam.

- Tak, ale nie wiesz dokąd.

- Nie. - Zacisnęła usta.

Coś tu się nie zgadzało. Wiedział, że silne wstrząśnienie mózgu mogło wywołać chwilową utratę pamięci, lecz coś mówiło mu, że Tess pamięta więcej, niż przyznaje. Może nawet pamięta wszystko, tylko po co symuluje amnezję przed obcymi? To bez sensu.

- Czy wiesz, kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych? - spytał, podchodząc bliżej, by obserwować jej reakcję.

- Prezydentem czego?

- Stanów Zjednoczonych.

Po krótkim namyśle pokręciła głową.

- Niestety, nie.

Powoli pokiwał głową.

- A jak się nazywał pierwszy prezydent USA?

- Czemu pytasz mnie o to, wiedząc, że mam kłopoty z pamięcią? - Zmrużyła oczy.

- Czasem ludziom coś przypomina się spontanicznie. - Pewnie widział coś takiego w kinie. - Pamięć może wrócić nagle nieoczekiwanie.

- Miejmy nadzieję, że moja wróci w taki sposób.

- Wspomniałaś - odezwał się po chwili - że byłaś zamyślona, kiedy zdarzył się wypadek. Twierdziłaś, że to nie była moja wina. Opowiedz mi, co pamiętasz.

- Chodzi o wypadek?

- Tak, lub o czymś innym, co ci przychodzi na myśl.

- Cóż... - Wydęła wargi. - Pamiętam, że byłam w samochodzie. - Zmrużyła oczy i spojrzała w przestrzeń, koncentrując się. - Coś się stało i wysiadłam z samochodu, a potem tylko pamiętam przed sobą pisk opon.

- Z przodu?

- W każdym razie gdzieś blisko. - Popatrzyła na Dylana. - Bardzo blisko.

- Czy pamiętasz moment uderzenia?

- Nie - zawałała się - tylko pisk opon. I ostry, przenikliwy ból. Potem ciemność.

Postanowił przejść do sedna. Był już prawie pewien, że Tess symuluje amnezję.

- Czy pamiętasz, co robiłaś tuż przed wypadkiem?

Zastanawiała się, marszcząc nosek. Dylan pomyślał, że to urocze, choć zachowanie Tess irytowało go.

- Chyba skończyła mi się benzyna. Dokładnie nie pamiętam.

Skinął głową.

- Kiedy oprzytomniałaś, mówiłaś w obcym języku. Chyba po włosku. Czy znasz włoski?

- Nie wiem. - Gwałtownie wzruszyła ramionami.

Pomyślał przez chwilę i westchnął.

- Teraz powinienem zapytać cię o coś po włosku, ale niestety nie znam tego języka, a tylko kilka słów, takich jak pizza, lasagne i temu podobne.

Roześmiała się.

- Pizzę wynaleziono w Chinach.

- Tak? - Uniósł brew. - To wiesz, a nie wiesz, jak się nazywasz?

Zrobiła minę dziecka przyłapanego na łasuchowaniu w spiżarni.

- Mózg to ciekawy mechanizm, prawda? - spytała od niechcienia, lecz zaczerwieniła się.

- Niezwykłe - przyznał, przypatrując się jej.

- Pamiętam niektóre rzeczy, a inne są jak dziury w pamięci. Bardzo zabawne uczucie.

- Zabawne czy przerażające?

- Oczywiście, że przerażające. To kłopotliwe nie wiedzieć, jak się człowiek nazywa i skąd pochodzi.

- Wcale nie wyglądasz na przestraszoną z tego powodu. - Oczywiście, silnie uderzyła się w głowę i jej reakcje mogły być nieprzewidywalne, ale zdumiał go jej brak zainteresowania sytuacją. Nawet nie spytała o to, czy znaleziono jakąś torebkę lub dokument.

- A czego się spodziewałaś? Ze będę krzyczała i płakała? To nic nie da. Mam problem i staram się uspokoić, by go rozwiązać.

- Jasne - skinął głową. - Zgadzam się z tobą.

- Dzięki Bogu i za to. - Wstała, podeszła do okna i odwróciła się tyłem do Dylana.

W całej jej postawie, w tym, jak się przygarbiła, w sposobie trzymania zasłon, widać było napięcie. Czuła się nieswojo, a można było wytłumaczyć to na wiele sposobów. Na przykład obawą, że zostanie przyłapana na kłamstwie.

- Wyglądasz na spiętą - zauważył.

- Jestem zrelaksowana - zaprotestowała, nie odwracając się.

Roześmiał się.

- O co chodzi? - spytała.

- Staram się tylko pomóc.

- Jeszcze godzinę temu skłonna byłam w to uwierzyć. Nie wyglądasz na zainteresowanego moim stanem zdrowia. Raczej chcesz przyłapać mnie na kłamstwie.

- A kłamiesz?

- Widzisz? - Uchybia się od odpowiedzi. - O tym właśnie mówię. Nie próbuję cię oszukać, więc nie masz czym się martwić. Przecież dziesiątki razy powtarzałam, że chcę stąd wyjechać, a ty mi na to nie pozwalasz. Nie wiem, jak mam cię przekonać.

- To nie o to chodzi. Próbuję pomóc ci wrócić do zdrowia, uwierz mi.

- Czuję się świetnie.

- Wcale nie. Masz wstrząśnienie mózgu. To może być poważna sprawa. - W ciągu całej swej praktyki nie miał tak uciążliwego pacjenta. Marzył, by już był ranek i mógł / czystym sumieniem puścić ją w dalszą drogę. - A do tego cierpisz na amnezję, o ile jest prawdziwa.

Pokręciła głową, unikając jego wzroku.

- Dziękuję za troskę, doktorze.

- Troszczę się o ciebie.

Parsknęła z niedowierzaniem.

- Chyba tam, skąd pochodzisz, lekarze traktują pacjenta bardziej bezosobowo - odparł, obserwując jej reakcję.

- Owszem - odparła wyniośle. - Co więcej, nie gnębią swoich pacjentów ani nie oskarżają ich o to, że kłamią na temat swych dolegliwości. - Ujęła się pod boki niczym zagniewana nauczycielka. - Zwłaszcza gdy są sami odpowiedzialni za obrażenia pacjenta

Uniósł brew i zdołał się nie uśmiechnąć. Przyłapał ją.

- Jesteś tego pewna?

- Oczywiście. - Zawahała się przez chwilę i dodała: -Wydaje mi się, że tak postępuje większość lekarzy. Leczą, a nie dręczą. - Zadarła głowę i spojrzała na niego zaczepnie, lecz bez agresji.

Wiedziała, że ją przyłapał.

Oboje zdawali sobie z tego sprawę.

Wyprostował się, nie spuszczać z niej wzroku.

- Kim jesteś?

- Proszę? - Zbladła.

- Kim jesteś i czemu symulujesz amnezję?

ROZDZIAŁ TRZECI

Tess nie znalazła na to stosownej odpowiedzi. Nie szkodzi. Nie musi na nic odpowiadać.

- Jeśli zamierzasz mnie wrobić w ten wypadek - ciągnął Dylan dziwnie spokojnym głosem - to wybrałaś niewłaściwego faceta.

- Nikogo w nic nie zamierzam wrabiać - naszożyła się Tess. - I nie wybierałam cię. To ty mnie potraçaieś.

- Wszyscy dobrzy naciągacze potrafią zaaranżować wypadek. - Wzruszył ramionami.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem i już miała zamiar uderzyć go za tę obelgę, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Nie przeszkadzam? - zawołała Helen.

Tess i Dylan nadal spoglądali na siebie niczym bokserzy z narożników ringu.

- Wcale nie - odrzyknęła po sekundzie Tess. - Proszę. W drzwiach pojawiła się Helen, trzymająca w ręku filiżankę z delikatnej porcelany.

- Herbata rumiankowa. Wypij, kochanie.

- Serdeczne dzięki - odparła Tess, biorąc gorącą filiżankę. Wiedziała, że Dylan obserwuje ją podejrzliwie i ze złością. Czuje przy tym, że ma do tego prawo. - To nad wyraz uprzejme z pani strony - dodała.

- Drobiazg - odparła Helen, najwyraźniej nieświadoma panującego w pokoju napięcia. - Aha, Merv przysłał chłopaka z warsztatu. Chyba po raz kolejny nie zapłacił rachunku za telefon.

- I co z samochodem? - spytał niecierpliwie Dylan. Tess odniosła wrażenie, że najchętniej szybko by się jej pozbył z miasteczka.

- Chce, żeby Tess wpadła do warsztatu, gdy poczuje się lepiej.

- To brzmi groźnie - zauważyła Tess, myśląc o czterdziestu dwóch dolarach, jakie jej zostały. Nawet najprostsza naprawa będzie kosztowała pięć razy tyle. Przyjdzie jej zadzwonić do Gary po pieniądze. Jej mała ucieczka skończy się, nim się zaczęła.

- Merv jest przyzwoity - wtrącił Dylan. - Nie obedrze cię ze skóry.

- Nie to mnie martwi - odparła Tess. - Boję się, że naprawa potrwa zbyt długo, żeby... no, mniejsza z tym. Porozmawiam z Mervem. Niemniej, dziękuję za pomoc.

- Przysłał również torbę z samochodu - dodała Helen. - Leży w holu na dole. Dylan, byłbyś uprzejmy ją tutaj przynieść?

- Oczywiście. - Zerknął na Tess. - Nie chciałbym być oskarżony o brak przydatności.

- Dziękuję - szepnęła słodko Tess i przyglądała się, jak Dylan wychodzi. Gdy odwróciła się w stronę Helen, zdumiała się, widząc na twarzy starszej pani przewrotny i nieco złośliwy uśmiezek.

- Będzie przydamy - oświadczyła Helen, unosząc znacząco brew.

- Źe co?

- Dylan. Zauważyłam, że między wami iskry.

- To nie te iskry, o jakich pani myśli - roześmiała się Tess.

- No, nie wiem. Sprzeczałyście się jak kochające się małżeństwo, co było słychać aż na schodach

- Wcale się nie sprzeczałyśmy, tylko... - Tess westchnęła. Wiedziała, że konflikt z Dylanem powstał z jej winy. W końcu to on przyłapał ją na oszustwie. Miał prawo się na nią gniewać. - Sprzeczałyśmy się.

- Wcale nie jest taki zły, jak sądzisz - zachichotała Helen. - Po prostu nie idzie mu z kobietami.

To zaciekało Tess.

- Naprawdę? - Otworzyła szerzej drzwi, w razie gdyby Helen chciała coś jeszcze opowiedzieć.

Chciała.

- Odkąd sparzył się na żonie, nie wie, jak postępować z kobietami, szczególnie ładnymi.

- Dylan ma żonę? - zaniepokoiła się nie wiedzieć czemu Tess.

- Miał. Bogu dzięki to już przeszłość.

- Co się stało? - Tess pojęła niestosowność pytania. -To nie moja sprawa, proszę wybaczyć, że pytałam.

- Nic nie szkodzi. W tym mieście to żaden sekret. -Helen mimo wszystko ściszyła głos.

- Dylan sprowadził się tutaj, gdy mój świętej pamięci mąż zaniemógł. Potem okazało się, że to Alzheimer.

- Przykro mi - mruknęła Tess.

- Dziękuję, złotko. - Helen otarła łzę. - Niemniej nigdy nie zapomnę, że Dylan został, choć ta żoźa, jego żona, powiedziała, że albo Mayford, albo ona. Wyobrażasz to sobie? Co za egoistka!

- Nie znosiła Mayford?

- Z wzajemnością - parsknęła Helen. - Gdyby postawiła na swoim, zmusiłaby mnie do zamknięcia mojego biednego Franka, Panie, świec nad jego duszą, w domu i zaciągnęła Dylana z powrotem do Seattle. Ale Dylan wiedział, że zlikwidowanie praktyki dobiłoby Franka.

- Więc został przez wzgląd na niego? - Helen skinęła głową.

- Frank wiedział, że się kończy. To go przygnębiało. Nie miał zamiaru się poddać. Nazywał to emeryturą, ale oboje wiedzieliśmy, że to już koniec. Jednak gdyby musiał zamknąć ten gabinet, pękłoby mu serce. - Otarła kolejną łzę. - Krótko mówiąc, Dylan dokonał szlachetnego wyboru. Ale kosztowało go to małżeństwo.

Tess nie zdołała ukryć zdumienia. Nie знаła wielu pozbawionych egoizmu osób i żywiła dla nich podziw.

- Jak długo była tu żona Dylana, zanim postawiła ultimatum?

- Dwa tygodnie.

- Dwa tygodnie? - Tess bywała w miejscach, których nie lubiła, ale nigdy nie podjęłaby tak drastycznej życiowej decyzji zaledwie po dwóch tygodniach. Zresztą Mayford jest takie urocze. Któż tak bardzo chciałby się stąd wynieść? - Musiał troskliwie się wami opiekować.

- Owszem - przyznała Helen, wygładzając kapę. - Jest również bardzo obowiązkowy. Kiedy trzeba, pracuje po dwadzieścia cztery godziny na dobę całymi tygodniami. Dlatego zostaje tu na noc. Sam potrzebuje wytchnienia.

- Naprawdę ma taki ruch? - zdziwiła się Tess. - To nieduże miasteczko.

- Na ogół nie jest źle, ale ostatnio musiał zastąpić innego lekarza - położnika, który miał sześć pacjentek w szóstym miesiącu. Wiesz, kilka miesięcy temu mieliśmy awarię zasilania - zaśmiała się Helen.

- Faktycznie, Dylan ma pełne ręce roboty - przyznała Tess.

- Owszem, ale czuje się odpowiedzialny za twój stan zdrowia, więc zostanie tu, by czuwać nad tobą w nocy.

Tess ogarnęło poczucie winy.

- Wcale nie musi tego robić. Helen wzruszyła ramionami.

- Tego mu się nie wyperswaduje. Nawet nie zamierzam próbować. Jak coś postanowi, to koniec.

- Jaki koniec? - spytał Dylan, wnosząc do pokoju zieloną jedwabną torbę firmy DeMaurier.

- Takie babskie gadki. - Helen poklepała go po policzku, wychodząc. - Nieważne. Jedzenie za godzinę. Przygotowuję twoją ulubioną zapiekankę z kurczakiem.

- Nie zadawaj sobie tyle trudu, Helen - uśmiechnął się uroczo Dylan.

- Żadna fatyga. Zawsze doceniam dobrych gości.

- Wracam do gabinetu, ale wrócę koło szóstej.

- Wciąż sprawa starego domu Hotchkissa? - domyśliła się Helen.

- Niestety.

- Co to za stary dom Hotchkissa? - spytała Tess. - Rozmawiałeś o rym w swoim gabinecie.

- Stuletnia posiadłość w stylu wiktoriańskim na skraju miasta, Blame Hotchkiss zapisał go Mayford w testamencie pięć lat temu. Nie zdołaliśmy niczego zrobić. Miasto nie ma pieniędzy na remont, więc dom niszczeje.

- Nie możecie go sprzedać?

- Towarzystwo Historyczne z Mayford żąda gwarancji, że nowy właściciel odbuduje go z zachowaniem stylu. Rada miejska i ja staramy się o to od roku. To trudna sprawa.

- Ale nie dla naszego Dyla. - Helen uśmiechnęła się do Tess. Potem ruszyła w stronę schodów. - Nie spóźnij się na obiad, kochanie!

Kiedy poszła, Dylan podał torbę Tess.

- Co tam masz, blok silnika? Waży z tonę.

Nie chciała przyznać się, że wie, co jest w środku, bo przecież udawała, że nic nie pamięta, więc bez słowa postawiła ją na łóżku.

- Słuchaj, twoja ciotka właśnie powiedziała mi, jaki jesteś zajęty, zastępujesz innego lekarza. Naprawdę nie chcę, żebyś czuwał całą noc, zwłaszcza że sam nie wierzysz, iż coś mi dolega.

- Tego nie powiedziałem. Masz wstrząśnienie mózgu, za co jestem odpowiedzialny, więc zostanę.

- Dobrze już, dobrze. - Głowa wciąż ją bolała, choć nie wierzyła, że coś jej grozi. Niemniej on był lekarzem i miał swój punkt widzenia na tę sprawę.

- Proponuję, żebyś odpoczęła chwilkę przed obiadem.

- Ale muszę pójść do warsztatu.

- To może poczekać do jutra. - Dylan zerknął na zegarek. - Merv i tak już poszedł.
- Poszedł? Przecież dopiero... - Zerknęła na pusty przegub. W pośpiechu nie wzięła zegarka. Niedobrze. Gdyby go sprzedała, bez trudu pokryłaby koszt naprawy i jeszcze zostałoby jej na kilka dni. - Jeszcze wcześniej.
- Wychodzi o trzeciej, bo jeszcze prowadzi farmę.
- Czy ktoś tu w ogóle ma jedną pracę?
- Kilka osób. Sprawy wyglądają tu inaczej niż w... mówiłaś, że skąd jesteś?
- Nie mówiłam. - Zmrużyła oczy.
- Faktycznie, nie mówiłaś. - Jakiś cień zawisł nad jego czołem. - Jestem pewien, że zgodzisz się ze mną, gdy przypomnisz sobie, skąd jesteś.
- Czemu tak uważasz?
- Bo Mayford różni się od większości miast, szczególnie tych wielkich. Gdybym lubił się zakładać, postawiłbym na to wszystkie pieniądze.
- A lubisz? - spytała ubawiona pomysłem zdobycia pieniędzy na naprawę samochodu. Korsaria była mniejsza od większości amerykańskich miast.

Popatrzył na nią uważnie i pokręcił głową. Z wyrazu twarzy odczytała, że nie dał się podpuścić.

- Wolę rzeczy znane od nieznanym.

- To musi być nudne.

Uniósł brew. Zaczerwieniła się.

- To znaczy, jeśli zawsze wiesz, co się stanie, to czego oczekujesz?

- A ty, czego oczekujesz? - spytał, podchodząc bliżej. Patrzył jej przy tym w oczy tak, że ugięły się jej kolana. - Wiesz?

- Nie. - Przełknęła ślinę.

- To skąd wiesz, że masz rację? Zastanów się, skąd wiesz, że postępujesz nieracjonalnie? Możesz być najbardziej konserwatywną i ostrożną istotą na świecie.

W tym momencie poczuła się niepewnie. Jeśli nie zachowa pełnej samokontroli, gotowa rzucić mu się w ramiona i całować. Było to o tyle dziwne, że Tess nigdy nie należała do kobiet zachowujących się swobodnie wobec mężczyzn. Z drugiej strony od dziesięciu lat nie podobał się jej żaden mężczyzna.

Tymczasem po kilku minutach sprzeczki z małomiasteczkowym amerykańskim lekarzem już pragnie go pocałować! To obłąd. Pewnie obrażenia głowy są poważniejsze, niż przypuszczała na początku.

Popatrzyła na niego, serce wyrwało się jej z piersi.

- Może i jestem konserwatywna - rzekła zmienionym głosem - a ty wcale nie.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem niczym postać z jej snów podszedł bliżej, uniósł jej twarz i pochylił się.

Gwałtownie wciągnęła powietrze i zamknęła oczy na chwilę przedtem, nim ich usta zetknęły się.

Wargi miał miękkie, pachniał dobrym mydłem i łanami zbóż. Tess uznała, że ten zapach jest bardziej podniecający od ciężkich perfum używanych przez wielu Europejczyków. Oprócz tego Dylan był mocniej zbudowany od mężczyzn, z którymi się stykała. Ani grama tłuszczu i zniewieściałej miękkości po latach oscylowania między teatrem a oficjalnymi przyjęciami. Gdy wziął ją w ramiona, poczuła podniecenie i lęk, ponieważ było to niebezpieczne.

Co. do licha, wyrabia z tym nieznanym w miasteczku, do którego nigdy już nie zajrzy?

Cofnęła się.

- Widzisz? - wydusiła z trudem. - Wcale nie jesteś takt konserwatywny.

- A ty owszem - powiedział, spoglądając wpierw na jej wargi, potem prosto w oczy. - I tak należy. Nie powinienem tego robić, to nieprofesjonalne podejście. Wybacz.

Za nic nie chciała wzbudzić w nim poczucia winy.

- Czy była to swoista terapia wstrząsowa, doktorze? - spytała z uśmiechem. - Miała pomóc mi odzyskać pamięć?

- Może raczej pomóc zapamiętać mnie - roześmiał się gorzko.

- Tak łatwo cię nie zapomnę - uśmiechnęła się szerzej. Odwzajemnił uśmiech.

- Lepiej pójde, zanim powiem czy zrobię coś głupiego. Odpocznij. Gdybyś czegoś potrzebowała, Helen wie, jak mnie znaleźć. Obiecuję w przyszłości poprawne zachowanie.

Pragnęła, by został, chciała wyjawić mu prawdę. Ale nie знаła Dylana. Nie miała pewności, czy wówczas nie powiadomiłby mediów, wpędzając ją w niesłychane kłopoty.

Najlepszym wyjściem dla niej było przetrwać noc i obudzić się w dobrym zdrowiu. Zakładając, że zdoła zapłacić za naprawę auta, wyjedzie z samego rana i zapomni, że kiedykolwiek tu się zatrzymywała. Zapomni o Dylanie i Mayford, o czymkolwiek, co mogłoby zakłócić jej życie.

Nagle Tess poczuła zmęczenie. O tym wszystkim pomyśli potem. Teraz musi się wyspać.

- Dylan, jesteś mi winien przeprosiny. - Velma otworzyła łokciem drzwi, bo trzymała naręcze pism ilustrowanych. - Sam zobacz.

- Velma, nie mam czasu...

- Lepiej, żebyś miał, koleś, bo to wielka...

Westchnął i odłożył pióro.

- Dobrze. Poświęcę ci chwilkę. Co to za wielkie halo?

- To, że księżna Teresa jest w Mayford. - Wydała dźwięk będący ni to piskiem, ni chichotem. - Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Sprawdź ostatnie wydanie „Society”. Przysłali dopiero wczoraj. Nie miałam czasu przejrzeć go aż do teraz, ale znalazłam tam niezbity dowód.

Zaczęła kartkować magazyn.

- Velma, naprawdę nie mam na to teraz czasu. Muszę wypełnić formularze ubezpieczeniowe, uzupełnić dane pacjentów...

- Dobra, dobra. Znalazłam. Sprawdź sam - powiedziała z triumfalnym wyrazem twarzy. - Nadal twierdzisz, że nie mam racji?

Na łamach „Society” widniało całostronicowe zdjęcie Tess. To była niewątpliwie ona.

Stała pomiędzy Henrym Kissingerem a kobietą o nazwisku Lonnie English. Zdjęcie zrobiono przed kilku dniami na przyjęciu dobroczynnym w Waszyngtonie.

- I jak teraz wyglądasz, Dyl?

- Weź to sobie, Vel - wycedził, mając w pamięci kobietę, którą całował, a pragnął czegoś więcej. Wiedział, że to niewłaściwe, lecz jeśli Velma miała rację, sprawy przedstawiały się wręcz fatalnie. - Zdumiewające podobieństwo.

Velma wyrwała mu pismo z ręki.

- Akurat! To jest ona. Nie żaden film o bliźniakach Olsen. Nie istnieją aż tak podobne bliźnięta. To ona. - Wzięła kolejny magazyn i odnalazła właściwą stronę. - Spójrz tu i tu. Jest jeszcze jeden artykuł, chyba w październikowym wydaniu, poświęcony w całości jej. Odszukałabym go dla ciebie, ale nałożyłam trwałą pani Pommery i za cztery minuty muszę ją splukać.

- Lepiej już idź. - Dylan nie mógł się doczekać, kiedy A spokoju i uważnie przejrzy te pisma. - Nie chcę, by pani Pommery zjawiła się tu z chemicznymi oparzelinami.

- Bardzo śmieszne - odęła się Velma. - Przejrzyj sam te pisma, Dylan. Zobaczysz, że mam rację. - Ruszyła A stronę drzwi, ale odwróciła się w pół drogi - O rany, myślisz, że ci ludzie z „People” napisaliby o mnie, gdybym :o ja odnalazła zaginioną księżną cierpiącą na amnezję? -Wzrok miała rozmarzony. - Już widzę okładkę z moim sklepem

w tle. A może zostaniemy z Tess przyjaciółkami. Przedstawi mnie tym wszystkim utytułowanym Europejkom. Może nawet sama znajdzie sobie księcia. - Zerknęła na Dylana. - To jest możliwe.

- Velma, jedno jest pewne. Jeśli piśniesz słówko komukolwiek, zanim obejrzę te pisma i podejmę decyzję, nie dojesz następnego wydania „People”.

- Akurat się ciebie boję, Dylan - mruknęła Velma.

- Dbam jedynie o moją pacjentkę - rzekł, starając się usunąć z pamięci pocałunek. - A jeśli nawet masz rację, to może ona nie chce, by ludzie wiedzieli, gdzie jest? Nie przyszło ci to do głowy?

- Nie. - Velma przez chwilę była zbita z tropu. - Och, róże masz rację. Może ukryła się w Mayford. Świetny pomysł. Nikt tu jej nie będzie szukał.

Oprócz piętnastu czy dwudziestu osób, którym Velma zdążyła to już roztrąbić przed obiadem, pewnie nikt.

- Po prostu zachowaj to dla siebie, dobrze, Velma? Porozmawiamy o tym później. Tymczasem wróć do pani Pommery, zanim wypadną jej włosy.

Velma pisnęła i rzuciła się do drzwi, krzycząc, że wciąż jest jej winien przeprosiny. Dylan słyszał, jak stuknęła obcasami, biegnąc ulicą do odległego o jedną przecznicę salonu fryzjerskiego „Kędziorek”.

Dylan wziął ostatni pokazywany mu przez Velmę magazyn. Było tam zdjęcie Tess w stroju narciarskim w alpejskim kurorcie. Obejrzał też inne zdjęcia. Takie podobieństwo nie mogło być przypadkowe.

Nadał jednak nie był przekonany, że kobieta w pensjonacie ciotki to ona. Jak to możliwe? Przeczyła temu logika. Może księżna ma sobowtóra. Wielu ludzi ma. To byłoby bardziej naturalne niż myśl, że prawdziwa księżna wjechała do Mayford w starym garbusie.

Zaczął czytać wszystko po kolei, by dowiedzieć się jak najwięcej o księżnej Tess. Po godzinie zadzwonił do Helen i powiedział, że spóźni się na obiad. Dwie godziny później skończył czytać pisma i rozpoczął szeroko zakrojone poszukiwania w Internecie.

Dowiedział się wszystkiego, co się dało o księżnej Teresie z Korsarii, alias Tess McDougall z Liberty w Ohio.

Nie było tego za wiele. Poznał jej pełne nazwisko i tytuł, datę urodzenia, fakt, że nie była bliźniaczką, szkołę, do której chodziła, i jak długo trwało jej małżeństwo, zanim mąż zginął.

W kilku artykułach z plotkarskich pisemek dowiedział się o niewierności jej męża, w co nie mógł uwierzyć. Jaki mężczyzna przy zdrowych zmysłach zostawiałby w domu kobietę taką jak Tess i ruszał na hulankę? Ta ciepła, promieniejąca, zmysłowa kobieta urzekła Dylana. Uszczęśliwiłaby każdego mężczyznę.

Nie dowiedział się za to, jaka naprawdę jest Tess, ale tego nie oczekiwał.

Najważniejsze, że ustalił jej tożsamość.

Pozbierał magazyny i wstał od biurka. Nie wiedział, jak wykorzysta tę wiedzę, ale miał nadzieję, że coś wymyśli po drodze do pensjonatu Helen.

Zgasił światło, zamknął drzwi i poszedł powoli ciepłą letnią nocą, rozważając wszystkie warianty. Czy powinien konfrontować Tess z czasopismami, czy podjąć grę? Ma kontaktować się z ambasadą, gdyby amnezja okazała się prawdziwa, czy kiedy okaże się nieprawdziwa?

Zanim dotarł do pensjonatu, wiedział, co powinien zrobić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Dzwoniła Velma - powiedziała podniecona Helen, gdy tylko Dylan stanął we frontowych drzwiach. - Czy to prawda? To nie kolejny Nixon?

- Nie, tym razem to chyba prawda.

- Och - szepnęła. - Księżna w moim pensjonacie. Oczywiście będę musiała zmienić nazwę jej pokoju. Co myślisz o „Apartamencie Księżnej Teresy”?

- Myślę, że lepiej z tym się wstrzymać, na wypadek gdyby coś się pokręciło - uśmiechnął się - i trzeba by usunąć ze dwie ściany, jeśli zamierzasz nazwać to apartamentem. Pójdę z nią porozmawiać. Wstała już?

- Tak, jak prosiłeś, zajrzałam do niej godzinę temu. Spała jak dziecko. - Helen zmieszana się. - Nie miałam serca jej budzić.

- Więc jej nie obudziłaś?

- Po prostu nie mogłam! Była taka zmęczona! - Helen złożyła ręce. - Przepraszam, powinnam zrobić, jak kazałeś.

- Nic nie szkodzi. - Poklepał ją pocieszająco. - Ale następnym razem obudź ją, dobrze? Wierz mi, to dla jej dobra.

- Czy mam to teraz zrobić?

- Nie, sam pójdę. - Ruszył w stronę schodów.

- Podgrzeję ci zapiekankę - zaproponowała Helen.

- Wspaniale, dzięki, Helen. - Ani mu w głowie było jedzenie, ale Helen tak bardzo szczyliła się swoją kuchnią, że nie chciał sprawiać jej przykrości.

Wszedł na górę i przystanął przed drzwiami Tess. Jeżeli obudziła się, nie chciał wejść w niestosownym momencie. Delikatnie zapukał.

- Tess?

Nie odpowiedziała.

Zapewne śpi, więc musi ją obudzić.

Nacisnął klamkę i uchylił drzwi. Mrok pokoju rozjaśniała jedynie przyćmiona lampka nocna postawiona przez Helen przy łóżku. Mógł zobaczyć, że Tess wciąż śpi. Przysiadł niezręcznie na skraju łóżka, trzymając przy nogach torbę lekarską.

Naprawdę wyglądała uroczo. Zrozumiał, czemu Helen nie chciała jej budzić. Blond włosy rozsypały się niczym welon wokół jej twarzy, przywodząc mu na myśl ilustrację z bajki o śpiącej królewnie. Co za ironia losu. Czy Tess zawsze miała takie książęce przymioty, czy nabyła je wraz z poślubieniem księcia?

Z góry znał odpowiedź.

Wdzięk, uroda i harmonia wewnętrzna są nie do kupienia. Albo się je ma, albo nie. Tess miała to wrodzone.

Zanim się zreflektował, dotknął jej włosów. Były miękkie jak jedwab, w niczym nie przypominały wyblakłej słomy, jaką widział na głowie kobiet opuszczających salon Velmy.

Gdy tak się jej przyglądał, poczuł coś dziwnego.

Doszedł do wniosku, że to poczucie winy.

Co on narobił? To przepiękna królewna z bajki, uwielbiana przez cały świat! Tymczasem przez niego ta urocza twarzyczka jest podrapana. Mogło być gorzej, przeraził się. Mógł ją zabić lub trwale okaleczyć, a wszystko dlatego, że nie zachował należytej ostrożności na drodze.

Zadrapania i siniaki, Bogu dzięki, znikną. Miał nadzieję, że niezbyt się nimi przejęła. W końcu twarz to część jej fortuny. Jak ma być nieskazitelną księżną, skoro wygląda na zwykłą ofiarę wypadku drogowego?

Może dlatego udaje, że nie wie, kim jest? Czy to zwykła próżność sprawia, że nie chce, by ją ktoś teraz sfotografował? W pewnych kręgach była sławna. Psiakość, Velma rozpoznała ją natychmiast. Może Tess nie chce, by ktoś widział ją w takim stanie.

Skoro tak, Dylan uszanuje jej wybór, zwłaszcza że czuł się odpowiedzialny za wypadek.

Znowu delikatnie dotknął skóry wokół zadrapań. Nie było tak źle. Za kilka dni wszystko wróci do normy. Zanotował sobie w pamięci, by zaaplikować przyspieszający gojenie żel z korzenia arniki.

Tess drgnęła, a Dylan cofnął rękę jak ukąszony przez węża. Był co prawda lekarzem badającym pacjenta, lecz z jakichś przyczyn trudno mu było zachować profesjonalną obojętność wobec Tess. Zamiast widzieć w niej chorego w potrzebie, dostrzegał w niej kobietę. Dlatego każde dotknięcie Tess budziło w nim bardzo niepożądane i niebezpieczne uczucia.

Dlaczego te rutynowe czynności, które powtarzał tysiące razy, odczuwa tak intymnie wobec niej?

Przeciągnęła się leniwie i otworzyła zaspane oczy w taki sposób, że napięły mu się wszystkie mięśnie. Był to widok, który wzburzyłby krew każdego normalnego mężczyzny. Przez chwilę żywił nadzieję, że uśmiechnie się i wyciągnie Jo niego ręce.

Zamiast tego na widok Dylana wydała lekki okrzyk i odruchowo naciągnęła szczelnie prześcieradło.

- Bez obaw - powiedział. - Jesteś w ubraniu.

- Skąd wiesz? - Uniosła podejrzliwie brew.

- Widzę - delikatnie dotknął jej rękawa.

- Och. - Usiadła, pozwalając prześcieradłu zsunąć się na podolek. - Racja. - Odrzuciła włosy i rozejrzała się. - Zrobiło się ciemno. Która godzina?

- Dochodzi dziesiąta. Spałaś prawie cztery godziny.

- To ten syndrom lotniczy - powiedziała i posmutniała. - To znaczy takie mam odczucia. Nawet nie wiem, czy coś takiego przeżyłam... - Pokręciła głową i westchnęła.

Dylan z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Niełatwo jest mieć amnezję, co?

- Boże, nie. - Po raz pierwszy zabrzmiało to prawdziwie. Chciał powiedzieć jej, że wie, kim ona jest, już miał to już na końcu języka, lecz uznał, że o wiele ciekawiej będzie sprawdzić, jak daleko się posunie w tej grze.

Nie mógł zrozumieć, czemu wciąż udaje, że nie wie, kim jest. Jeśli nie chciała być widziana publicznie, mogłaby po prostu zostać w pokoju, dopóki nie wydobrzeje. Nie potrwaloby to długo i byłoby o wiele łatwiejsze niż ta komedia z amnezją.

Zamiast tego prowadzi bezcelową grę, narażając na zdenerwowanie i niewygodę innych ludzi, choćby jego i Helen.

- Nic ci się nie przypomniało? - spytał, usiłując zachować obojętny ton.

Wzruszyła ramionami tak mocno, że wręcz utwierdziła go w przekonaniu, że oszukuje.

- Nic.

~ Ani nazwisko, ani miejsce urodzenia?

- Nie

W zamyśleniu potarł podbródek.

- Wyglądasz mi na dziewczynę z Ohio.

Zauważył, że na ułamek sekundy wstrzymała oddech.

- Ohio - rzekła niepewnie. - Z czego to wnioskujesz?

- Z twojego akcentu?

- Akcentu?

- Tak - skinął głową - i z faktu, że mówisz po włosku. - Zachował kamienną twarz. - Włoskiego uczą we wszystkich szkołach publicznych w Ohio. Jest obowiązkowy.

- Wcale nie. To byłoby śmieszne... - urwała i odkaslnęła. - To znaczy bardzo niepraktyczne. Nieprawda.

- Ależ prawda. - Sięgnął po swą czarną torbę. - Byłem tam. Nie sądzisz, że ty również?

- Nie wiem, z niczym mi się yo nie kojarzy. Wzruszył ramionami.

- Byłaś kiedyś w Europie? Włochy? Francja? Korsaria?

Znów niepewne spojrzenie, zmieszanie, lekki rumieniec.

Była urocza, gdy kłamała, ale nie nadawałaby się na pokerzystkę.

- Korsaria? - spytała. - Pierwsze słyszę.

- To mała wyspa niedaleko Włoch. - Starał się zachować spokojny głos. - Słynie z eksportu kurczaków. Mówią tam po flamandzku. - Zaczął czegoś szukać w torbie.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Doprawdy?

Podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej.

- Fascynujące miejsce.

- Z tego, co słyszę, tak.

- Mają tam rodzinę królewską, całkiem staromodną. Brak jakiegokolwiek przemysłu,

- Nie licząc eksportu kurczaków? - spytała oschle.

- Ciekawe, co? - Skinął głową

- Co jeszcze wiesz o tej Korsarii?

- Nie za dużo. Jest lam księżna, której imieniem nazwała Velma. Księżna Teresa. - Wyjął stetoskop i kilka gazet. - Z tego, co słyszałem, jest niewiele warta.

- Co słyszałeś? - najeżyła się Tess.

- Zwykle plotki. Nic godnego uwagi. - Zastygł ze stetoskopem w ręku. - Chyba że ją znasz.

- Nie.

Nadal udaje. Nie do wiary.

- Mniejsza z tym. Mało kto ją zna. Nie jest taka interesująca. Bardziej zastanawiają mnie inne rzeczy, których te wiedziałyś.

- Na przykład?

- Kto jest prezydentem USA. Jaki mamy rok, a przede wszystkim, jak masz na imię. Za to wiedziałyś, że pizzę wymyślono w Chinach. Ciekawe. Teraz posłuchamy, jak tam płuca, - Przyłożył jej stetoskop do pleców. Dekoncentrowała go jej bliskość. - Weź wdech i wstrzymaj powietrze.

Posłuchała go.

- Sam przecież twierdziłeś, że pamiętanie oderwanych faktów jest czymś normalnym - sapnęła po chwili.

- Cóż, wówczas nie bardzo wiedziałem, z czym mam do czynienia, ale potem w gabinecie zgłębiłem temat. Szczerze mówiąc, jestem nieco zaniepokojony. - Odłożył stetoskop i dotknął jej czoła. Gładkość jej skóry rozpałała go. Zignorował to uczucie. - Tak jak się obawiałem. Za gorąca!

- Naprawdę? - Wydawała się zdumiona.

- Zgodnie z opisem - skinął głową - objawy są podobne do... - urwał, szukając efektownej nazwy - ...zakażenia mózgu.

- Zakażenie mózgu? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Niestety. Amnezja, w której pamięta się różne oderwane rzeczy, z wyjątkiem dotyczących własnej osoby, jest charakterystyczna dla specyficznego zakażenia mózgu. Zapewne skutek wstrząsu.

- To nonsens. - Popatrzyła z powątpiewaniem. - Kto słyszał o zakażeniu mózgu?

- Pewnie słyszałaś - uniósł brew - ale nie pamiętasz.

- To chyba możliwe...

- Oczywiście zrobię ci zastrzyk dożylny z antybiotyku. I to silnego.

Odsunęła się od niego.

- Zaraz, zaraz, chcesz mi zrobić zastrzyk?

- Po leku tak silnym jak...Zingermycin możesz źle się poczuć. Musimy opanować to zakażenie. - Zrobił współczującą minę. - Poczujesz się gorzej, ale nie tak, gdyby przedostało się do krwiobiegu.

- Może jest jakieś inne wyjście? - spytała, zaciskając ręce na prześcieradle.

- Nie mamy czasu. - Pokręcił głową. - Jeśli będziemy zbyt długo zwlekać, pozostanie nam jedynie interwencja chirurgiczna. Może nawet do niej dojdzie.

- Interwencja chirurgiczna? Chyba nie zamierzasz wywiercić mi dziury w głowie!

- To jedyne wyjście. Ale nie martw się, mam w gabinecie potrzebne narzędzia. Robiłem to co prawda tylko raz, ale szybko sobie przypominę kolejność.

- Nie będziesz mi wiercił żadnych dziur w ciele - zaperzyła się Tess.

- Ale twoja amnezja... - Był szczerze zaniepokojony.

- Pewnie zwykłe przemęczenie. Wystarczy dobrze przespana noc.

- Tak sądzisz? - spytał z powątpiewaniem.

- Jestem pewna.

- No, nie wiem - cmoknął - czy warto czekać, bo jeśli infekcja się rozprzestrzeni, będzie bardzo bolało.

Spojrzała na niego i zmrużyła oczy.

- Zaryzykuję. Proszę dać mi się porządnie wyspać i na pewno rano wróci mi pamięć, więc te wszystkie przygotowania okażą się niepotrzebne.

Zacisnęła wargi i udając, że się zastanawia, przyglądał się jej.

Wyglądała jak Bambi w światłach reflektorów, tak uroczo, że chciał wziąć ją w ramiona, jednocześnie była nieco wystraszona i zaczął zastanawiać się, czy nie wyznać jej, że wcale nie zamierzał robić operacji mózgu.

Nie, do cholery, przez nią wyszedł na głupca, a tego nie lubił. Teraz da jej nauczkę.

- No dobrze - westchnął. - Zatem śpij dalej i rano ocenimy sytuację.
- Zgoda. - Wyraźnie się rozluźniła. Włożył narzędzia do torby i wstał.
- Sen to najlepsze lekarstwo. Może coś zacznie ci się przypominać.
- Chyba tak - odparła - mam dobre przeczucia.
- To napawa mnie optymizmem - uśmiechnął się. -Może jesteś głodna?

No dobrze, wiedział, kim ona jest. To było jasne. Pewnie również domyślał się, że nie cierpi na amnezję. To również było jasne, choć wciąż nie chciała się do tego przyznać. Wówczas nie byłoby żadnego powodu, dla którego miałaby tu zostać, a szczerze polubiła atmosferę w pensjonacie.

Z przyjemnością słuchała melodii z lat czterdziestych nuconych przez krzątającą się przy sprzątanii Helen. Wsluchiwała się w swojskie pobrzękiwanie garnków w kuchni i wchłaniała aromat przygotowywanych potraw.

Lubiła wyglądać przez okno wychodzące na ulicę. Nie było tam żadnych fotografów, wścibskich reporterów, błyszczących limuzyn ani ochroniarzy. Za to płotki lśniły bielą, na szerokich ulicach dzieci bawiły się skakankami lub jeździły na rowerach. No dobrze, kilkoro miało gry wideo, ale ogólnie, Mayford przypominało wyidealizowane miasteczko Disneya, gdzie każdy chciałby mieszkać.

Tess usiadła przy oknie. Cichą ulicę oświetlały staroświeckie kute w żelazie lampy. Od wyjścia Dylana przed dziesięciu minutami Tess nie słyszała żadnego przejeżdżającego samochodu, a tylko cykanie świerszczy, kumkanie żab i od czasu do czasu szczekanie psów.

Wręcz czuła, jak obniża się jej ciśnienie. Tak idealnie odprężona nie była od lat, mimo że odwiedziła kilka najbardziej renomowanych uzdrowisk i poddawała się najnowocześniejszym terapiom relaksacyjnym. Mayford okazało się najskuteczniejszym środkiem.

No i był jeszcze Dylan Parker, miejscowy lekarzo- burmistrz. Tess niechętnie przyznawała się sama przed sobą, że stanowił najistotniejszy powód, dla którego chciałaby tu zostać. Obdarzony był jakimś niezaprzeczalnym magnetyzmem. Ilekroć wchodził do pokoju, czuła, jak przyspiesza jej tętno, a rumieniec oblewa twarz. Praktycznie nie mogła oderwać od niego wzroku, nawet jeśli krępowała się tym niczym nastolatka. A gdy wreszcie to się jej udawało, miała wrażenie, że z kolei on wpatruje się w nią, co wywoływało u niej gęsią skórkę.

Krótko mówiąc, podkochiwała się w nim. Niczym pensjonarka. Chociaż wiedziała, że powinna chłodno rozumować, serce podpowiadało jej, że mogłaby raz zawierzyć temu uczuciu.

Wymyśliła zatem plan, który pozwoliłby jej zostać dłużej i móc widywać się z doktorem Dylanem.

Zgasła światło i położyła się z zamiarem dopracowania szczegółów, ale gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, natychmiast zasnęła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Noc upływała powoli, uatrakcyjniona szeregiem dziwacznych snów. Dylan przychodził, by sprawdzić, jak Tess śpi, ale nie budził jej podczas tych wizyt. W rezultacie w każdym ze snów pojawił się jako bohater, w jednym nawet ogłosił się prawowitym władcą Korsarii, czyli małżonkiem Tess.

We śnie trudno było jej się z tym pogodzić, ale ochoczo udała się wraz z nim do małżeńskiego łóżka.

Kiedy poranne słońce obudziło wreszcie Tess, przez dłuższą chwilę rozkoszowała się wyśnioną nocą miłosną. Jednak, gdy Dylan zajrzał do niej przed śniadaniem, naszała ją straszna myśl, że mogła powiedzieć coś przez sen podczas jednej z jego wizyt.

- Dobrze spałaś? - spytał, uśmiechając się jak kot, który połknął kanarka.

- Wspaniale - odparła, przyglądając się mu nieufnie. - Czemu pytasz?

- Bo jestem twoim lekarzem.

Poczuła, że się rumieni.

- Czy... przypadkiem... nie mówiłam czegoś przez sen?

- Nie - odparł z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. --Ale mam wrażenie, że przypomniałaś sobie, kim jesteś.

Zaczerpnęła powietrza i uruchomiła swój plan.

- W istocie, tak.

- Naprawdę? - Wydawał się zdumiony.

- Tak. Rzeczywiście mam na imię Tess. Tess McDougall. Jestem pewna.

- Tess McDougall - powtórzył. - Co jeszcze pamiętasz? Jakies szczegóły?

- Pochodzę z Pensylwanii.

- Pensylwania - powtórzył. - Dobrze słyszę?

Nie zdziwił jej ton niedowierzania w jego głosie.

- Tak, z Waynesboro. Wyjechałam wczoraj wczesnym rankiem, by spotkać się z kimś w Outer Banks.

- Ten ktoś pewnie się o ciebie niepokoi. Może powinniśmy zadzwonić do niego czy też do niej?

Była na to przygotowana.

- Nie, przyjaciółka spodziewa się mnie dopiero jutro. Miałam sama otworzyć dom po przyjeździe, więc jeśli uznasz, że czuję się na siłach, pojedę.

- Nie potrzebujesz nikogo zawiadamiać?

Rozłożyła rękę.

- Nie, tylko muszę zajrzeć do warsztatu i sprawdzić, co z moim samochodem.

- A jak kostka? Poradzisz sobie ze sprzęgłem?

- Jasne. Jest o wiele lepiej. Pomyślałam nawet, że przejdę się do warsztatu, jeśli jest w miarę blisko.

- Może lepiej cię podwiezę? Ale najpierw zjedz śniadanie, bo ciotka Helen nigdy mi nie przebaczy.

- Dobrze, tylko pościelę łóżko, i schodzę na dół.

Dylan zerknął na nią zdziwiony.

- Dobrze, powiem jej.

Patrzyła, jak odchodzi i zastanawiała się, czemu tak zdziwiło go, że chce posiać łóżko. Gdyby wiedziała, gdzie jest pralnia, uprałaby prześcieradła. Minęło sporo czasu, odkąd samodzielnie słała łóżko, lecz poradziła sobie z tą czynnością bez trudu.

Kiedy skończyła, wzięła torbę i zeszła na dół, kierując się smaczkowym zapachem smażonego boczku i kawy.

- Już jesteś! - Helen rozpromieniła się na jej widok. - Dzień dobry, kochanie, jak się spało?

- Dziękuję, doskonale - powęszyła chwilę. - Pięknie pachnie. Co jest na śniadanie?

- Nic szczególnego. Boczek, jajka, smażone ziemniaczki, sałatka owocowa, sok pomarańczowy i oczywiście kawa. Jesteś głodna?

- Jeżeli nie byłam - uśmiechnęła się Tess - to zgłodniałam, słuchając. - Usiadła na miejscu wskazanym przez Helen. - Chciałabym wiedzieć, ile ci jestem winna za tę noc, Helen. Mam nadzieję, że zgodzisz się, żebym wysłała ci pieniądze za parę dni. Mogę zostawić coś z biżuterii, choćby ten naszyjnik.

Helen spojrzała na nią z wyrzutem.

- Nie martwię się tym, kochanie. Naprawdę wyjeżdżasz?

- Jeśli auto jest już gotowe, a Merv zgodzi się, żebym przesłała mu pieniądze. - Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. - Obawiam się, że zapomniałam torebki.

Musi zadzwonić do handlarza po powrocie z wypadu. Na szczęście nie było tam nic prócz gotówki i jej prawa jazdy z panieńskim nazwiskiem. Tess nie używała czeków ani kart kredytowych, więc jeśli ktoś inny dobierze się do torebki, nie narazi jej na większe szkody.

- Wolalabym, żebyś tu została. - Helen wyglądała na bardzo rozczarowaną. - Dylan mówił mi, że jedziesz na plażę, ale mamy tu w Mayford inne równie atrakcyjne propozycje. Czy wiesz, że trzy kilometry za miastem jest największy w Karolinie Północnej tor minigolfa?

- Nie wiedziałam o tym. - Tess lubiła minigolfa.

- To może zadzwonisz do przyjaciółki i powiesz jej, że zostajesz - namawiała Helen.

- Albo ja zadzwonię za ciebie - zaferował się Dylan, lecz Tess wątpiła w szczerość jego zamiarów.

- Wielkie dzięki - odparła, obrzucając go wyniosłym spojrzeniem.

Roześmiał się, więc pewnie spojrzenie nie było dostatecznie wyniosłe, jak zamierzała.

Śniadanie było wyśmienite, lepsze niż w czterogwiazdkowym hotelu i Tess nawet dołożyła sobie drugą porcję jajecznicy z papryką i cheddarem. Przez cały czas czuła na sobie wzrok Dylana i choć starała się nie zwracać na niego uwagi, gdy czasem krzyżowały się ich spojrzenia, przesywał ją dziwny dreszcz.

W pół godziny później wysiadali z jego furgonetki pod warsztatem Merva.

- Hej, burmistrzu. - Mały, przysadzisty mężczyzna wyłonił się ze środka, wycierając ręce szmatą. - Jak leci?

- Doskonale, Merv - odparł Dylan. - To jest Tess McDougall, właścicielka garbusa, którego przyholowaliśmy wczoraj.

Merv spojrzał na Tess i dotknął daszka czapki.

- Miło mi - powiedział z południowym akcentem. - Samochód będzie gotowy jutro.

- Dopiero? Wcześniej nie da rady?

- Dopóki nie przyślą mi części, nic nie zwojuję. Zabiorę się do tego z samego rana, słowo.

Tess zrobiło się trochę głupio, że go tak naciska.

- Dobrze. Zrobi pan, kiedy będzie można. Czy zna pan wysokość rachunku?

Ucieszył się.

- Sto trzydzieści dolarów i szesnaście centów.

- Sto trzydzieści dolarów - powtórzyła. Skąd zdobędzie pieniądze bez powiadamiania Gary?

- I szesnaście centów.

Nabrała powietrza.

- No cóż, sprawa wygląda tak: nie mam ze sobą pieniędzy. Zostawiłam torebkę, ale to nie ma nic do rzeczy. Zastanawiam się, czy mogłabym wysłać czek po powrocie do domu. Nie potrwa to dłużej niż kilka dni i z przyjemnością pokryję czas oczekiwania.

Merv zdjął czapkę i podrapał się w głowę.

- Bez urazy, psze pani. Jestem pewien, że porządna z pani kobita, ale tyle razy naciąłem się na tę historię z czekiem, że przysiągłem sobie brać wyłącznie gotówkę. Zresztą, jak słyszałem, z pani pamięcią jest nietęgo.

Tess zaschło w gardle. Nigdy dotąd nie odmówiono jej kredytu.

- Mogę dać w zastaw mój naszyjnik. - Pokazała kolię z diamentów czystej wody.

Merv uniósł brwi.

- Bez urazy - powtórzył - ale skąd mam wiedzieć, że jest prawdziwy?

- Ja zapłacę - rzekł Dylan.

- A to świetnie - ucieszył się Merv.

- Wcale nie - zaprotestowała Tess. - Dziękuję, ale nie ma potrzeby, żebyś płacił moje rachunki.

- Jakoś nie przywykłaś płacić je sama - zauważył Dylan. - Ale ja ci ufam. Możesz mi zwrócić pieniądze.

- Nie - uparła się. - Zapłacę sama. - Zwróciła się do Merva: - Przyniosę pieniądze. Jutro po południu?

Popatrzył na nich zdezorientowany.

- E... tak. Koło piątej.

- Świetnie.

- Chodź, odwiozę cię do Helen - odezwał się z niepokojem Dylan.

Tess nie lubiła nikomu się narzucać.

- Przejdę się - powiedziała i nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę, z której przyjechali.

Dylan obserwował ją. Czują jego wzrok na plecach. Potem usłyszała trzaśnięcie drzwiczek i uruchamianie silnika. Za chwilę dobiegł ją głos Dylana.

- Do Helen będzie z półtora kilometra. Poradzisz sobie? Bardzo się zmęczysz.

Zatrzymała się i rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Jakoś wytrzymam.

- Skoro tak twierdzisz...

Ruszyła dalej, a on jechał obok z prędkością pięć kilometrów na godzinę.

Po kilku minutach znów przystanąła.

- Słuchaj, burmistrzo- doktorze. Nie musisz mnie doglądać. Nic mi nie jest.

- Chcę się upewnić. Czuję się za ciebie odpowiedzialny.

- Więc będziesz mi towarzyszył przez całą drogę do pensjonatu?

Uśmiechnął się.

- Albo i dalej, jeśli będzie trzeba.

- Czy nie mówiłeś czegoś o wyłącznie profesjonalnym podejściu do mojej osoby?

- Owszem - odparł zmieszany.

- I to ma polegać na śledzeniu mnie? - spytała.

- Po prostu dbam o twoje zdrowie.

- Jak długo jeszcze?

- Dopóki tu jesteś.

Westchnęła zniecierpliwiona i rozejrzała się wokół. Stała niemal na wprost restauracji Noli.

- Chyba wypiję jedną kawę - oznajmiła. - Może nawet dwie. Ty idź do pracy i nie przejmuj się mną.

- Kawa to niezły pomysł - rzekł, parkując auto na wolnym miejscu. Zaciągnął ręczny hamulec i wysiadł.

- Nie przypominam sobie, żebym prosiła cię o dotrzymanie mi towarzystwa - wycodziła lodowatym tonem Tess.

- Rzeczywiście.

Ryknął klakson i Tess zobaczyła, że podjeżdża do nich najbardziej błyszczący radiowóz, jaki widziała. Lśnił bielą i czerwienią, miał ogromne lusterka wsteczne po obu stronach i potężny chromowany szperacz od strony kierowcy. Wyglądało na to, że dach zdobiło dwa razy tyle świateł, co w normalnym radiowozie.

Rosły mężczyzna w mundurze błyskał nieskazitelną bielą zębów, a wąsy miał jak postaci z kreskówek. Wycelował palec w Dylana.

- Cześć, doktorku - ryknął. - Czy to ta urocza dama z wczoraj?

- We własnej osobie - powiedział Dylan. - Tess McDougall, a to szeryf Mose Lambert.

- Gdzieś już pana widziałam - odezwała się. Nadał się jak pluszak z Muppet Show.

- Może widziała mnie pani w kinie

- Chyba nie - spochmurniała. - Raczej wczoraj zaraz po wypadku.

- O... - Wypuścił nieco powietrza niczym po ukluciu szpilką. - Tak, byłem tu. Większość ludzi rozpoznaje mnie z ekranu.

- Kiepski horror - szepnął jej do ucha Dylan. Wyczuła rozbawienie w jego głosie.

Z trudem zachowała powagę.

- Z przyjemnością bym to obejrzała, szeryfie.

- Proszę wziąć z wypożyczalni - powiedział. - Mają trzy egzemplarze. Chętnie obejrzałbym wraz z panią i udzielił paru fachowych komentarzy.

- Będę miała to na uwadze.

Mrugnął, uruchomił silnik i ruszył z piskiem opon, pozostawiając ślad na asfalcie.

- Wygląda na to, że porządku pilnuje światowa sława.
- Byłby szczęśliwy, słysząc to - uśmiechnął się Dylan. - Jego osobowość realizuje się w byciu grubą rybą w małym stawie.

- Widywałam już takich. Zresztą sam tu jesteś grubą rybą.

Weszli do środka i zajęli miejsca przy kontuarze. Chromowane wnętrze przypominało obrazy Normana Rockwella. Było bardzo tłoczno.

- Podejdę za minutkę, kochana - krzyknęła do Tess przechodząca obok okazała kelnerka z dzbankiem kawy.

- Bez pośpiechu - odparła. Chciała obejrzyć się, by zobaczyć, co porabia Dylan.

- O, Dylan Parker - zawołała kelnerka. - Miło cię widzieć. Łoża burmistrza jest wolna.

- Dzięki, Nola, posiedzę sobie przy barze.

- Dobrze. Poczęstuj się ciasteczkami. Jestem zabiegana. Sammy zwiła wczoraj z Marco i zostawiła mnie na lodzie. Szczerze mówiąc, ta dziewczyna... - Pobiegnę dalej, mrużąc coś pod nosem o nieodpowiedzialnych dzieciakach.

Dylan podniósł szklaną pokrywkę.

- Chcesz jedno? - spytał Tess. Wzięła od niego ciastko.

- Teraz jesteś kelnerem? Naprawdę ciężko pracujesz.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Nola wpadła pomiędzy nich z bloczkiem i ołówkiem. Wierzchem dłoni odgarnęła opadające na oczy włosy.

- Dobrze. Co byś chciała, złotko? - zwróciła się do Tess.

- Może pracę?

- Szukasz pracy? - W oczach Noli zaświeciła nadzieja.

- Tak, na dwa, trzy dni. Muszę zapłacić za naprawę samochodu, a nie mam pieniędzy. Może w ten sposób pomożemy sobie nawzajem. - Przypomniała jej się podrapana twarz i dotknięta blizn. - Jeśli nie przeszkadza ci mój żaloszny wygląd.

- Nie martw się tym, złotko. Wszyscy wiedzą, co ci się stało. - Nola wzięła się pod boki i cofnęła o krok. - Jeśli mówisz poważnie, masz tę pracę. Dwa, trzy dni wystarczą mi na znalezienie kogoś na miejsce Sammy.

- To szaleństwo - wtrącił Dylan. - Co z twoją kostką?

- Co z tą kostką? - szybko spytała Nola.

- Zwichnęłam ją, ale już w porządku. Nie zamierzam startować w maratonie.

- Będziesz dużo biegała w czasie lunchu i kolacji - ostrzegła ją Nola.

- Nie szkodzi. Naprawdę.

- To masz tę robotę.

Dreszcz przeszył Tess. Od lat nie miała prawdziwej pracy. To może być zabawne. Spojrzała na Nolę.

- Naprawdę?

- Zaczynasz od zaraz. Pięć dolarów za godzinę plus napiwki. Pracujesz od południa do siódmej.

Czyli pięćdziesiąt dziennie, wraz z napiwkami, w sam raz, by zapłacić za samochód.

- Zgoda. - Tess wyciągnęła rękę, Nola uściśnęła ją i wręczała jej bloczek i ołówek.

- Na zapleczu jest uniform Sheili. Była mniej więcej twojego wzrostu. - Nola zmierzyła Tess od stóp po głowę. - Wysoka, szczupła dziewczyna z wielkimi stopami, całkiem taka jak ty.

Tess roześmiała się. Wiedziała, że rozmiar dziewięć i pół nie był niczym nadzwyczajnym u kobiet jej wzrostu, ale ujęła ją bezpośrednio Noli.

- Wszyscy już zamówili, z wyjątkiem doktora - ciągnęła Nola. - Idę do kuchni, przygotować coś z tych zamówień.

- Nic się nie martw. - Tess uśmiechnęła się, gdy Nola pospieszyła do kuchni. Serce zabiło jej mocniej. Tydzień temu sama by w to nie uwierzyła. Co za odmiana.

Odwróciła się do Dylana z bloczkiem w ręku.

- Czym możemy służyć, panie burmistrzu?

Dylan pokręcił głową.

- Czy naprawdę uważasz, że to odpowiednia praca dla kogoś takiego jak ty?

- Jak ja? - Uniosła brew. - Co masz na myśli?

- Dobrze wiesz - powiedział z tłumioną złością. - Nie wiem, co zamierzasz, ani skąd się wzięłaś w Mayford, ale czemu nie chcesz, żebym za ciebie zapłacił? Mogłabyś pojechać dalej.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie?

- Nie.

- I nie masz nic do ukrycia? - Szmaragdowe oczy doktora stały się stalowoszare.

- Skąd ten pomysł? - Z trudem przełknęła ślinę. Popatrzył jej przez chwilę w oczy, potem z bocznej kieszeni wyciągnął magazyn ilustrowany.

- Stąd - odparł, kładąc pismo na kontuarze.

- Co to? - spytała, bojąc się spojrzeć.

Gdy w końcu rzuciła okiem na wielkie, kolorowe zdjęcie, jęknęła. Uśmiechała się do niej jej własna twarz.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przez dłuższą chwilę Tess gapiała się na magazyn. Nie potrzebowała brać go do ręki, czytać komentarza. Znała to na pamięć.

- No to koniec balu - powiedziała w końcu do Dylana. - Szkoda gadać.

- Chyba tak.

Zmarszczyła noskę i po chwili znów spojrzała na Dylana.

- Kto jeszcze wie?

- Tylko Velma.

Tess westchnęła, przypominając sobie reakcję Velmy przy pierwszym spotkaniu.

- Myślałam, że jak wpadnę, to przez nią. - Zamknęła na chwilę oczy. - Czy powiedziała komuś jeszcze?

- Nie - pokręcił energicznie głową, - Zadbam o to, jeśli tym ci zależy

- Bardzo. - Odwróciła pismo tyłem, by nikt nie widział zdjęcia.

- Ale nic z tego nie rozumiem - dodał cicho. Rozejrzała się.

- Nie mogę tu mówić o pewnych sprawach.

- Nola, zabieram ci na chwilę kelnerkę - zawołał i nie czekając na odpowiedź, poprowadził Tess na pusty chodnik przed lokalem.

- O co chodzi, księżno? Czemu przybyłaś do Mayford starym i bardzo zawodnym gruchotem? To chyba nie jest twój normalny sposób podróżowania.

Pomyślała przez chwilę. Z jego szmaragdowych oczu wyzierała czysta ciekawość. Nie było tam widać chciwości ani złej woli. Chyba nie wykorzysta tej wiedzy, by się wzbogacić. Mniejsza z tym, i tak wie wystarczająco dużo, by zaszkodzić jej opinii. Ta zatłoczona restauracja jest równie dobrym miejscem, jak każde inne by wyznać prawdę.

- Chciałam uciec, by móc być sobą przez kilka dni -powiedziała, mając nadzieję, że to mu wystarczy, ale pomyliła się.

- Uciec od czego?

Otworzyła usta i znów je zamknęła. Czy przestała myśleć? Przecież go nie zna! Ostatnie dziesięciolecie upłynęło jej na starannym dobieraniu słów, które wypowiadała publicznie. Nie będzie otwierała się przed nieznanym.

- Pragnęłam trochę ciszy i spokoju.

- I to jest twoim zdaniem najlepsza metoda? - spytał z niedowierzaniem. - Nie mogłaś polecić odrzutowcem na jakąś prywatną wyspę na Karaibach?

- Nie chciałam lecieć na żadną prywatną wyspę na Karaibach - odparła - tylko pojechać do Sapphire Beach.

- Sapphire Beach? Na Outer Banks? - Popatrzył na nią jak na głupią. - O żadnym spokoju nie ma tam mowy o tej porze roku. Roi się tam od turystów. Gdyby samochód nie nawalił ci tu, przegrzałby się na pewno w korku aut zmierzających wzdłuż Coastal Highway.

Nic już nie zostało z dawnych czasów, nawet pusta plaża zapamiętana z dzieciństwa. Chciało się jej płakać.

- Może to nie był najlepszy plan, ale jedyny, na jaki wpadłam. A w ogóle, czemu się wściekasz?

- Bo gdybym był taki głupi, za jakiego mnie uważasz, wciąż myślałbym, że cierpisz na amnezję i zmarnowałbym mnóstwo czasu, zastanawiając się, jak cię wyleczyć. Czy nie przyszło ci do głowy, że ten plan szkodzi innym ludziom?

Poczuła węzeł w gardle.

- Przepraszam. Masz rację, nie pomyślałam o tym.

Twarz Dylana złagodniała.

- Musiałaś być nieźle przyciśnięta, by się na to zdobyć. Nie umiała się dłużej opanować. Słowa same popłynęły jej z ust.

- Byłam, to znaczy jestem. Od lat moje życie było szczegółowo zaplanowane od momentu, gdy się budziłam, po chwilę, gdy zasypiałam. Wszystko było ułożone na całe mielące naprzód. Nawet wyjazd na wakacje jest ogłaszany z wyprzedzeniem, żeby reporterzy i fotografowie mogli na miejscu czyhać na mój każdy błąd. Chciałam odrobinki swobody, luzu.

- Nie możesz im powiedzieć, żeby zostawili cię w spokoju? - szczerze zdziwił się Dylan. - Jako księżna nie możesz mieć, czego zapragniesz?

Tess uśmiechnęła się smutno.

- Wszystko prócz anonimowości. Tyle mam zagwarantowane. Jak zapewne wiesz, dorastałam w Ohio.

Dylan uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Poczytałem trochę o tobie.

Dreszcz przeszedł jej po plecach. Myśl, że grzebał w jej życiu, zdenerwowała ją.

- Widzisz? O tym właśnie mówię. Mogłeś wszystko o mnie przeczytać! A ja prawie nic o tobie nie wiem!

- Jestem jak otwarta książka.

- Co najwyżej na stronie tytułowej.

Uśmiechnął się naiwnie.

- Trzeba umieć czytać między wierszami.

- A ty umiesz? - spytała. - A może uwierzyłeś w te artykuły w brukowcach?

- Ustaliłem twoją tożsamość. To najważniejsze. Czemu nie powiedziałaś mi prawdy?

- O czym?

- O sobie. I czemu uciekałaś przed swoim życiem?

- Już ci mówiłam. Ciężko być ośrodkiem zainteresowania małej, lecz natrętnej grupy. Od dnia ślubu towarzyszyło mi na każdym kroku co najmniej kilku dziennikarzy i

fotografów. Każdy mój ruch był uwieczniony, każda niezręczność trafiała na pierwsze strony w Korsarii. Czy to grzech, wziąć sobie kilka dni wolnego?

Przyglądali się sobie nawzajem. On był przyziemnym facetem, lekarzem z Seattle. Nie był w stanie pojąć jej słów. Zapewne uważał ją za zepsutą kobietę, która uważa się za Bóg wie co.

- Możesz mi wierzyć - odezwał się po chwili - że do pewnego stopnia doświadczyłem tego, o czym mówisz. Kiedy mieszkałem na Zachodzie, moje życie należało wyłącznie do mnie. Od kiedy przeniosłem się do Mayford, nagle stałem się publiczną własnością.

- Tak! - ucieszyła się Tess. - Właśnie tak.

- Tylko ty masz to na większą skalę - przyznał Dylan. - Ja do tego przywykłem. Oczywiście, nie czytam o sobie nazajutrz w gazetach.

- Racja, małomiasteczkowe zainteresowanie sąsiadami jest jeszcze do zniesienia - pokręciła głową. - Nie wiem jak sławni ludzie to wytrzymują.

- Więc czemu nie wycofałaś się po śmierci męża? Z pewnością mogłabyś się przenieść do któregoś z licznych miłych amerykańskich miasteczek i wtopić się w tłum.

- Może to nie tak łatwe, jak myślisz - roześmiała się Tess. - Wszędzie mieszkają takie Velmy, osoby urzeczone blaskiem wielkiego świata. Jak raz się tobą zainteresują, nie przestaną, choć wciąż pojawia się w tym świecie ktoś młodszy i ciekawszy. Mam nadzieję, że nie zabrmi to pompatycznie, ale nie mam żadnych złudzeń co do swej osoby. Poślubiłam fantazję.

- Chyba wszyscy - skinął głową Dylan - musimy ponosić konsekwencje swych decyzji. Nawet książęne.

Miał rację. Usiłowała na kilka dni ukraść trochę anonimowości i stało się to kosztem innych, ciężko pracujących ludzi, takich jak Dylan i Helen.

- Naprawdę mi przykro, że was w to wplątałam - powiedziała. - Oczywiście nie planowałam postoju w Mayford. Gdyby wszystko poszło po mojej myśli, odziałabym teraz na plaży - uśmiechnęła się - albo w korku. W każdym razie nie trwoniałabym twojego czasu ani energii. Naprawdę przykro mi z tego powodu, ale nie będę

przepraszała, bo chciałam tylko mieć trochę spoiwu, a mój plan, w przeciwieństwie do intencji, nie okazał najlepszy.

- Kilka dni ciszy i spokoju, i zatęskniłabyś za swoim prawdziwym życiem.

- Wątpię - zaśmiała się.

- Gotów byłbym się założyć - rzekł oschle. - Wątpię, czy jakakolwiek kobieta przywykła do prowincjonalnego życia po latach spędzonych wśród światowej elity.

Tess spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Kpisz sobie ze mnie? Bez mrugnięcia okiem tak nisko oceniasz wszystkie kobiety?

- No, może nie wszystkie - wycofał się. - Jedyne pewien ich rodzaj. - Mówiąc to, dał do zrozumienia, że ma na myśli właśnie ją.

- Możesz mi wierzyć, ale kobiety, podobnie jak i mężczyźni, potrafią doskonale zaadaptować się do nowych warunków. - Uniosła brew. - Może są nawet elastyczniejsze od mężczyzn.

Uśmiechnął się cynicznie.

- Akurat! Są po prostu sprytniejsze. Wiedzą, co powiedzieć i nazywają to elastycznością.

- Naprawdę aż tak nie cierpisz kobiet?

- Kocham kobiety. - Sposób, w jaki to powiedział, przyprawił ją o dreszcz.

Przesunęła dłonią po gęsiej skórcie, która pojawiła się na jej ręce.

- Wcale na to nie wygląda.

- Chcesz dowodu? - uśmiechnął się.

Był to czarujący, ujmujący uśmiech i Tess poczuła przyływ gorąca. Nie cierpiała sytuacji, w której mężczyzna rozbraja ją tak łatwo.

- Jaki dowód masz na myśli? - spytała zdradziecko drżącym głosem.

- Świadecko innej kobiety, rzecz jasna. - Urwał na chwilę i dodał: - A o czym myślałaś?

Tess poczuła, że się rumieni.

- Nie wiedziałam, co o tym myśleć.

Uchyliły się drzwi i wyrzła Nola.

- Dylan, oddaj mi dziewczynę. Możesz przystawiać się do niej po pracy.

- Kiedy to wcale nie jest tak... - zaczęła Tess.

- Wcale się do niej nie przystawiam - obruszył się Dylan.

- Chłopie, znam cię, odkąd sprowadziłeś się do tego miasta, sporo kobiet próbowało się do ciebie przystawiać, ale nigdy nie widziałam cię w takim stanie.

Dylan nie zarumienił się. Tess pomyślała, że to mu się nie zdarza, ale wyglądał na zmieszanego.

- Nola, chyba nie chcesz, na Boga, napytać sobie biedy?

- To raczej ty możesz być w opalach - Nola mrugnęła do Tess - ale nie przeze mnie.

Tess poczuła, że się czerwieni.

- Lepiej pójde do pracy.

- Doskonały pomysł - warknął Dylan, piorunując wzrokiem Nolę.

Wydawała się niewzruszona.

- Dobrze wiem, co widzę - uśmiechnęła się.

Dylan chyba chciał coś powiedzieć, ale tylko machnął ręką.

Nola zachichotała i objęła Tess w pasie.

- Chodź, mała. Czeka na nas mnóstwo facetów. A każdy chce dostać kawę i lunch.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Powiedziałaś jej, kim jesteś? - Dylan spojrział na Tess.

- Oczywiście - oznajmiła Helen. - Ale nie martw się, nikomu nie pisnę ani słówka - odegrała scenkę z zamykaniem ust na kłódkę - chociaż sędzę, że Cecile Landymore chętnie by cię poznała, bo uwielbiała księżną Dianę, pokój jej duszy. - Przeżegnała się.

- Przecież nie jesteś katoliczką, Helen - roześmiał się Dylan.

- To przez szacunek dla zmarłej - odparła, poklepując go po policzku. - Pogadajcie sobie, a ja tymczasem poszukam tych rzeczy...

- A więc - rzekł Dylan, gdy Helen wyszła - jeszcze trzymasz się na nogach.

- Owszem - odparła Tess - choć muszę przyznać, że bolą mnie stopy. I plecy, ręce również. Boże. kto by pomyślał, że kelnerki tak ciężko pracują?

Dylan odsunął krzesło.

- Siadaj. Muszę na to zerknąć.

Usiadła ciężko i z jękiem położyła głowę na oparciu.

- Jak tu dobrze.

Dylanowi zaschło w gardle, gdy ukląkł przed nią i wziął ją za kostkę.

- I jak dzisiaj?

- Trochę obolała, nic poważnego.

- Nie jest bardzo spuchnięta - zauważył, przesuwając palcami po jej skórze. Była gładka, lekko opalona. Nagle wzięła go ochota, by sięgnąć ręką coraz wyżej i wyżej...

- Auu! - Tess gwałtownie cofnęła nogę. - Boli, kiedy tak mocno ściskasz.

- Przepraszam - rzekł Dylan, potem mruknął coś o sprawdzaniu wrażliwości na ból.

- Jest wrażliwa - odparła. - Ale masz uścisk!

- Jak tam twoja głowa? - Wolał zmienić temat.

- Bolała mnie po południu, ale zażyłam aspirynę i pomogło.
- Naprawdę powinnaś się oszczędzać. - Przysunął się bliżej, by obejrzyć jej źrenice.
- Właśnie to robię. - Spojrzała na niego.

W ciągu dnia oczy miała naprawdę przepiękne, jasnoniebieskie.

- Nie powinnaś pracować.
- To mi sprawia przyjemność. Poza tym muszę zapłacić Mervowi.
- Powiedziałem, że pokryję koszt naprawy. - Dylan podniósł dłoń na wysokość jej twarzy. - Obserwuj mój palec.

Poruszał nim tam i z powrotem.

- Nie chcę, żebyś za mnie płacił. - Spojrzała na niego. - Oczywiście, doceniam to, ale potrafię sama o siebie zadbać.

- Palec - przypomniał jej, znów kierując jej uwagę na 3cń. - Jestem pewien, że potrafisz, ale jest coś niezdrowego w sytuacji, kiedy księżna, która utknęła w Mayford, musi służyć gości, żeby zapłacić za naprawę samochodu.

- Skoro tak to ujmujesz... - uśmiechnęła się. - Jednak to mi się podoba. Lubię patrzeć na ludzi siedzących przy stole, a nie mniej ważny jest fakt, że mogę swobodnie poruszać się bez natrętów polujących na mój autograf czy zdjęcie, co oczywiście nie byłoby do pomyślenia w Korsarii.

- No dobrze, poddaj się. - Odsunął się od niej z ociąganiem. - Nie widzę medycznych przeciwwskazań.

- Dziękuję.

- Juhu! - zawołała Velma, pukając do drzwi. - Nie przeszkadzam? - mrugnęła do Dylana.

- Rozmawiałaś z Nolą.

- Kto, ja? - Zrobiła niewinną minkę i złożyła głęboki, niezdamy ukłon przed Tess. - Księżno Tereso, to zaszczyt dla nas gościć panią.

- Mów mi Tess.

- Och, Tess! - pisnęła Velma. - Jak fajnie, prawda, Dylan? - Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła. - Cindy Howell nie uwierzy, jak jej to powiem,

- Chwileczkę, powiedziałaś Cindy Howell? - Powinien wiedzieć, że nie można ufać dyskrecji Velmy.

- Obiecała, że nikomu nie powie - zapewniła go Velma.

- Ty również obiecywałaś.

Tess zrobiła zakłopotaną minę, ale nic nie powiedziała. Dylan poczuł, że musi ją ochraniać.

- Ale ona jest fajna - upierała się Velma. - Wścieknij się, jak się dowie, co przed nią zataiłam.

- Nic nie szkodzi - wtrąciła Tess, choć zdaniem Dylana nie zabrzmiało to szczerze. - Nikt nie jest zobowiązany do zachowania tego w tajemnicy.

Dylan zerknął na Velmę, która zamiast skruszonej, zrobiła zachwyconą minę.

- No to mogę powiedzieć Shirley? Jest twoją fanką.

- Nie, Velmo - stanowczo oznajmił Dylan. - Doprowadzisz to tego, że zwali się tu cała banda dziennikarzy. Tego chcesz?

Przysięgłby, że w oczach Velmy błysnęły gwiazdki, gdy zwracała się do Tess.

- Oczywiście, że nie. Wszyscy dotrzynamy tajemnicy.

- Będę wdzięczna - odparła uprzejmie Tess.

- Już jej nie dotrzymałaś! - obruszył się Dylan.

- Mam na myśli obcych.

Tess położyła dłoń na jej ręce.

- Zostanę tu jeszcze kilka dni. Gdybyś pomogła mi ukryć ten fakt przed prasą, byłabym zobowiązana. Tyle radości sprawia mi bycie zwykłą mieszkanką Mayford, że nie chciałabym stąd uciekać.

To właśnie należało powiedzieć, pomyślał z podziwem Dylan. Velma za nic w świecie nie chciałaby, żeby jej bohaterka wyjechała. To zamknie jej usta.

- Och, wszyscy chcą, żebyś została! - rzekła. - Dochowamy twego sekretu. Dopilnuję tego osobiście. - Rozsiadła MC na sofie. - Jak długo zamierzasz zostać?

- Pewnie do piątku - westchnęła Tess.

- A sobotnie wybory miss Czwartego Lipca? - zawołała Velma. - To największe wydarzenie roku! Musisz zostać! Prawda, że musi zostać, Dylan?

Tess spojrzała na Dylana swymi wielkimi niebieskimi oczyma. Wydawała się rozbawiona sytuacją.

- Może robić, co zechce - rzekł ostrożnie. Czy to ma znaczenie? I tak stąd wyjedzie. Jemu jest obojętne, kiedy.

- Zastanowisz się? - Velma patrzyła na Tess z niecierpliwością.

- Cóż - Tess znów zerknęła na Dylana - przemyślę to. Coś ścisnęło go za gardło. Spojrzał na zegarek.

- Robi się późno - oznajmił, choć była dopiero ósma. - Pójdę do domu. Chciałem tylko sprawdzić, czy się dobrze czujesz.

- Jak nowa. - Tess dotknęła twarzy. - Nawet zadrapania i sińce ustępują. Chyba pomógł mi ten żel z arniki.

- Dylan jest najlepszy - wtrąciła Velma. - I do wzięcia. Może jako osoby samotne umówilibyście się na randkę?

Tess zaczerwieniła się.

- Mieszkamy na różnych kontynentach, Velmo. - Dyl próbował gładko wykręcić się z niezręcznego tematu.

- Jedno z was mogłoby się przeprowadzić.

Dylan pokręcił głową.

- Pójdę, zanim nas pożenisz.

- Nie ma potrzeby - odparła Velma. - Idę na górę do mamy. Możecie sobie spokojnie pogruchać. - Wybiegła, zanim któreś dało jej klapsa.

- Strasznie tu duszno - zauważył Dylan, gdy zostali sami.

- Okropnie - przytaknęła gorliwie Tess.

- Może zaczerpnijmy świeżego powietrza? - spytał, dziwiąc się, czemu nie wynosi się stąd, póki czas.

Wahała się wystarczająco długo, by pojąć, że ma podobne obiekcje.

- Jasne - odparła wreszcie.

Wyszli na ganek. Tess usiadła na ogromnej huśtawce, a Dylan oparł się o drewnianą framugę.

- Jako twój lekarz chciałbym powiedzieć, że nie powinnaś jeszcze stąd wyjeżdżać, ale muszę cię uprzedzić, że kiedy Velma rozpuści język, wieść rozniesie się szybciej niż ogień w suchym lesie.

Tess odchyliła głowę i westchnęła.

- Nikt nie ma obowiązku dotrzymania tajemnicy. Ani ona, ani ktokolwiek. Ale ty wiedziałeś i nie powiedziałaś nikomu. Dlaczego?

- Bo nie jest to w moim stylu - wzruszył ramionami.

- A może cię ściga jakiś zwariowany książę.

- Zwariowany książę? - roześmiała się.

- To może ktoś inny - uśmiechnął się. Usiadł obok niej na huśtawce. - Słuchaj, to nie moja sprawa, ale jednak spytam. Czy rzuciłaś mi się pod koła celowo?

Minęła dłuższa chwila, nim dotarł do niej sens pytania.

- Myślisz, że planowałam popełnić samobójstwo? Nie chciał być obcesowy, ale to właśnie miał na myśli.

- Sama mówiłaś, że mężczy cię życie i próbowałaś od niego uciec.

- Chciałam tylko spędzić kilka dni samotnie na plaży - zachnęła się. - Przysięgam, że nie zamierzałam ze sobą skończyć!

Była tak oburzona jego insynuacją, że jej uwierzył.

- Przepraszam, ale musiałem spytać.

- Czy wyglądam na osobę o skłonnościach samobójczych? - spytała wciąż obrażonym tonem.

- W tej chwili raczej o morderczych - uśmiechnął się.

- Tak już lepiej - zachichotała.

Przez chwilę słychać było jedynie skrzypienie huśtawki i cykanie świerszczy.

- No więc od jak dawna chciałaś uciec? - spytał Dylan, patrząc na wyłaniający się zza horyzontu żółty księżyc. Niczym światło sygnalizacyjne, zalecał ostrożność.

- Och, od jakichś dziesięciu lat - westchnęła Tess. - Jednak nigdy nie starczało mi odwagi. Zawsze było coś ważniejszego do zrobienia. Odpowiedzialne sprawy, które tylko ja mogłam załatwić.

- Nadobowiązkowa osobowość.

- Z tego, co słyszałam - uniosła brew - wiesz coś o tym.

- A co słyszałaś?

- Że czujesz się odpowiedzialny za wszystko i wszystkich w tym mieście, od wujka poczynając, a na mnie kończąc. Helen mówi, że nie potrafisz zostawić nikogo w potrzebie.

- Helen za dużo gada.

- Po prostu martwi się o ciebie - powiedziała Tess. - Nie ma w tym nic złego.

- Pomyśl - roześmiał się. - Sądysz, że stresujące jest to, iż cały kraj obserwuje wszystkie twoje posunięcia? Zamień to na jedną staruszkę i znudzoną fryzjerkę, które ci się przyglądają i usiłują grać rolę swatek. To jest stres.

- Czemu koniecznie chcą cię ożenić?

- Chyba czują się niespełnione. To nie żadne podejście seksistowskie - zaznaczył. - Wciąż mówią o dzieciach i liczą na mnie w tej sprawie.

- Velma jest jeszcze młoda - zauważyła Tess. - Czemu nie pomyśli o własnych dzieciach?

- Velma postanowiła, że najpierw pojedzie na Zachód i zwiedzi Hollywood. Nigdy nic w tym kierunku nie zrobiła, ale taki ma plan.

- Cóż, niektórzy ludzie nie są stworzeni do życia rodzinnego - rzekła Tess, spoglądając w przestrzeń. Wyraz twarzy miała nieodgadniony. Dylan na przekór sobie chciał dojrzeć u niej jakiś znak, że ona też pragnie rodzinnego życia, dzieci i wszystkiego, co się z tym wiąże.

- Należysz do nich? - usłyszał własny głos. Nie mógł się nadziwić, że zadał jej to pytanie.

Spojrzała mu w oczy. Miała smutny wzrok.

- Mam nadzieję, że nie.

Najwyraźniej dotknął czulej struny. Zamiast ciągnąć dalej, postanowił zmienić temat, choć chciałby spytać, czemu nie miała dzieci z mężem i czy w przyszłości zamierza mieć je z kimś innym, oraz z jakiego pokroju mężczyzną pragnęłaby spędzić resztę życia.

- Zatem - rzekł - jak długo miała trwać ta twoja ucieczka?

- Zamierzałam wyjechać na tydzień.

- Tylko tydzień? - Tyle czasu zajęłoby mu samo studiowanie koloru jej oczu.

Skinęła głową.

- Ale było to, zanim zostawiłam torebkę z pieniędzmi u handlarza używanymi samochodami - zaśmiała się. - Teraz mogę mówić o najwyżej pięciu dniach albo przynajmniej dopóki Helen da mi dach nad głową, a Nola pracę - wzruszyła ramionami. - Jeśli stracę jedno czy drugie, zadzwonię po pieniądze i natychmiast stąd wyjeżdżam.

Pięć dni. Mniej niż nic. Akurat tyle czasu, by tęsknić za nią, gdy wyjedzie.

- Ucieczki nie są twoją specjalnością, co? - Niechący dotknął nogą jej nogi i poczuł, jak przeszywa go prąd.

Spojrzała w dół, lecz nie odsunęła się, potem popatrzyła na niego.

- To mój pierwszy raz.

Zastanawiał się, jaki tryb życia by ją uszczęśliwił. Czy, gdyby została tu, też uciekłaby po kilku tygodniach? Podejrzywał, że tak.

- A co z tobą? - spytała.

- Ze mną?

- Chciałeś uciec, gdy wylądowałeś w Mayford?

Był wstrząśnięty. Nikt przedtem nie zarzucił mu tego, dopiero Tess walnęła go tym pytaniem jak młotkiem w głowę. Owszem, też chciał uciec, ale sam się przed sobą do tego nie przyznawał. Przyjechał tu, by pomóc Frankowi, ale nie zamierzał porzucać dotychczasowego życia, palić za sobą mostów. Wygodnie byłoby wrócić. Kiedy przestałby już być potrzebny wujowi.

- Daj spokój. - Obrócił wszystko w żart. - Nie należę do ludzi, którzy uciekają.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Owszem, należysz. Należysz do osób, które będą robiły wszystko dla innych, aż dłużej tego nie zniosą. Żadnych kompromisów, oddasz się innym bez reszty, aż nie będziesz już miał im co dać. Chyba wtedy byłbyś gotów stąd wyjechać.

Roześmiał się, choć w duszy przeraziło go to, jak bliska była prawdy.

- Skąd bierze się ta mądrość?

- Powiedzmy, że spostrzegłam w tobie pokrewne mi cechy.

Zajrzała mu w głąb duszy i wzbudziła niepokój.

- Zdemaskowałam mnie - odparł, siłąc się na swobodny ton. Wstał, zamierzając pójść do domu. - Jestem prawowitym dziedzicem angielskiego tronu, ale nie mogłem wytrzymać powszechnego zainteresowania.

- Próbujesz również obracać wszystko w żart, gdy ktoś cię rozszyfruje - uśmiechnęła się do niego, nie wstając z huśtawki. - Nie martw się, twój sekret jest bezpieczny.

Wierzył jej. Choć w pierwszej chwili chciał zaprzeczyć wszystkiemu, co powiedziała, doszedł do wniosku, że może jej zaufać.

- Dochowaj mojej tajemnicy - powiedział, wyjmując kluczyki z kieszeni. To był najlepszy moment, żeby się wycofać. - Ja dochowam twojej.

- Umowa stoi - skinęła głową. Poszedł do samochodu.

- Bez obawy, Tess. Zadzwoń do mnie, gdybyś się źle poczuła, lub wystąpiły objawy, o których powinnaś mnie zawiadomić.

Tak jakby pozostawienie jej na pastwę Velmy i Helen, dwóch niepoprawnych romantyczek i sensatek, nie było dla niej wystarczającą niedogodnością. Przecież i tak nie ustrzeże jej od wszystkich kłopotów.

Nawet gdyby chciał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tess patrzyła w ślad za światłami furgonetki Dylana, aż zniknęły jej z oczu. Dopiero gdy oddalił się wystarczająco, odważyła się wstać. Sprawił, że ugięły się jej kolana, co gorsza, wola również osłabła. Przez niego naszły ją dziwne myśli, fantazje i zapagnęła rzeczy, których nigdy dotąd nie miała.

Dzisiejsza rozmowa była najlepszym tego dowodem. Do tej pory z nikim nie czuła podobnej więzi duchowej. Miała wrażenie, jakby od zawsze byli przyjaciółmi. Na zdrowy rozum trudno było jej w to uwierzyć, zwłaszcza że nic o nim nie wiedziała, a jednak nie myliła się co do niego.

Tak samo, jak on nie mylił się co do niej.

Co więcej, podobało się jej to. Od tak dawna skryła się za maską księżnej, że z trudem poznawała siebie. To był jeden z powodów, dla których chciała wyrwać się ze swego świata. Nawet nie przypuszczała, że nierozważna próba ucieczki zetknie ją z osobą, która nie tylko dostrzeże, jaka jest naprawdę, ale wyjawi to jej.

Wciąż musiała sobie przypominać, że wkrótce stąd wyjedzie. Żyła w innym świecie. A nawet gdyby tak nie było, nie zamierzała związać się z mężczyzną, którego wszyscy stawiali za wzór. Człowiek powszechnie znany, o czarującej osobowości, na ogół w życiu prywatnym okazywał się kimś wręcz przeciwnym.

Jeśli Dylan Parker miał jakieś wady, Tess nie zamierzała ich poznawać.

Dylan nie pojechał prosto do domu. Czuł się pobudzony i rozdrażniony. Rozmowa z Tess przybrała całkiem nieoczekiwany obrót. Głównie dlatego, że okazało się, iż nie tylko on zna się na ludziach. Jej trafna charakterystyka zaniepokoiła go.

Nie był pewien, czy mu się to podoba.

Zaparkował samochód przed barem Harkera i postanowił, że strzeli sobie jedno piwko, a może nawet zagra w bilard. Za nic nie chciał siedzieć samotnie w domu i gryźć się tymi myślami.

- Doktoru! - zawołał Mose Lambert, gdy tylko Dylan przekroczył próg. - Cieszę się, że tu jesteś. Powiedz tym damom, że grałem w filmie.

Damy, o których wspominał, były raczej dwiema ślicznymi maślakami. Blondynka i brunetka, obie w obcisłych dżinsach i z powątpiewającym wzrokiem.

- To wielki gwiazdor - odparł Dylan, pokazując gestem stojącemu za barem Hankowi, by podał mu to, co zwykle.

Mose zaśmiał się jowialnie.

- A nie mówiłem? Komu macie wierzyć, jak nie burmistrzowi?

Dziewczęta zachichotały i Mose zaproponował im kolejnego drinka.

Dylan, który nie był dziś w nastroju na oglądanie spektaklu Mose'a Lamberta, przesiadł się w drugi koniec baru.

- Jak tam dziewczyna? - spytał Bob Didden z obojętnym jak zwykle wyrazem pociągłej twarzy.

- Tess? Wyzdrowieje. Dzięki, że spytałaś. Bob.

Barman podał Dylanowi drinka.

- Chodzą słuchy, że macie się ku sobie.

Dylan spojrział na Boba. Nie mógł uwierzyć, że taki milczek jak Bob Didden słuchał podobnych plotek.

- Wcale nie - odparł krótko. - Nie mógłbym się związać z... - Powstrzymał się w ostatniej chwili. - Z tą kobietą. Jesteśmy jak ogień i woda.

- Ona ma klasę - przytaknął Bob. - Ale ty też, doktoru. W niczym jej nie ustępujesz.

Niestety, tak, pomyślał Dylan.

Tess przekonała się następnego ranka, pokonując krótki odcinek do Noli, że Dylan miał rację, utrzymując, iż przyjaciółki Velmy nie są w stanie dochować żadnego

sekretu. Co najmniej pięć osób mrugnęło do niej lub znaczącym tonem szepnęło „księżno”. Dwie złożyły ukłon.

Jedna nawet głęboki.

Nola też już usłyszała wielką nowinę.

- Nic nie mów. Wiem wszystko.

- Co takiego? - spytała Tess.

- To, że wcale nie chcesz tu pracować. Wszystko się wydało. Merv był tu dziś rano, szukając ciebie. Prosił by ci przekazać, że nic mu nie jesteś winna za naprawę samochodu.

- To bardzo miło z jego strony Nola. ale nie zamierzam zostawić cię bez pomocy - odparta Tess. - Planuję zostać dziś i jutro, tak jak się umówiliśmy.

- Żartujesz ze mnie? - zdziwiła się i ucieszyła Nola. - Prawdziwa księżna pracuje u mnie jako kelnerka. Nie do wiary.

Zakłopotana Tess nie wiedziała, co powiedzieć.

- Nie różnię się od innych ludzi.

- Pewnie - parsknęła Nola. - Tylko że jesteś księżną. W każdym innym miejscu, prócz Mayford, rozpoznano by cię natychmiast.

- W czym tkwi odmienność Mayford?

- Ludzie tu trzymają się razem - wzruszyła ramionami Nola. - Wiemy wszystko o sobie, ale za to miejscowych nie interesuje reszta świata. Twoja obecność wnosi powiew świeżego powietrza. - Spojrzała znacząco na Tess. - Dylan uważa tak samo.

- Tak myślisz? - Tess czuła się jak nastolatka w liceum, pytająca, czy chłopak ze starszej klasy ją lubi. Sama sugestia, że Dylan mógłby być nią zainteresowany, przyprawiła ją o dreszcz emocji.

I tak nic z tego nie wyjdzie. Pociągał ją, owszem, ale nawet gdyby czuł do niej to samo, za nic nie związałyby się z kolejnym przedstawicielem władzy. Dylan nie był,

rzecz jasna, księciem, ale był burmistrzem, a ludność Mayford przewyższała nawet populację Korsarii. Tess miała zdecydowanie dość jałowego życia w politycznym światku.

Nie zwracała przy tym uwagi na głos wewnętrzny, mówiący jej, że tym razem byłoby inaczej. Dylan był inny.

- Wiem to - ciągnęła Nola. - Ten chłopak jest tobą oczarowany. Zdumiewające, zważywszy, jak wiele dziewcząt od lat usiłowało zwrócić na siebie jego uwagę. - Spojrzała na drzwi za Tess, przewróciła oczyma. - Oho. nadciąga szeryf Cary Grant.

- Witam, moje panie - rzekł tubalnym głosem Mose Lambert. - Widzę, że łoża szeryfa jest pusta. - Pokazał w stronę stolika nazwanego wczoraj przez Nolę łożą burmistrza.

- Proszę siadać, szeryfie - odparła znudzonym tonem Nola. - Co podać?

Zatrzymał wzrok na Tess.

- Na początek twoją nową kelnerkę.

- Lepiej niech pan powie to burmistrzowi - rzekła Nola.

- Nie, Dylan i ja nie jesteśmy... - zaczęła Tess.

- Już tu jedzie - przerwał jej Mose. - Odbędziemy małą naradę. Posiedzenie rady miejskiej - dodał z naciskiem. Wziął menu, ale nawet nie zajrzał do karty. - Powiedz mi, księżno, co dziś polecasz?

Tess przemilczała ciętą odpowiedź. Najwyraźniej wszyscy już o niej wiedzieli.

- Może na początek kawa lub herbata?

- Wezmę kawę. Bez śmietanki. Muszę dbać o formę. - Poklepał się po wydatnym brzuchu. - Kamera dodaje co najmniej pięć kilo.

Miała na końcu języka dowcip, że pewnie zjadł kilka kamer, ale przez dziesięć lat nauczyła się milczeć w takich sytuacjach. Teraz postąpiła tak samo.

- Zamierza pan wystąpić przed kamerą? - spytała.

- Nakręciło się kilka filmów. - Wydał policzki. - Nigdy nie wiadomo, kiedy znów się zgłoszą.

- Rozumiem.

- Ja i ty jesteśmy tego samego pokroju - sapnął. - Jesteśmy sławni. Może powinniśmy się połączyć, pogadać o interesach - mrugnął.

- Nie zabawię tu długo - odparła dyplomatycznie.

- Nie mam nic przeciwko podróżom. - Złapał ją w talii. - Niektóre rzeczy są tego warte.

Cofnęła się gwałtownie.

- Na pewno nie ja.

- Chodź, kochanie. - Nie poddawał się tak łatwo. Znów objął ją swym wielkim łapskiem. - Nie znasz tu nikogo, a nikt inny prócz mnie nie potrafi zabawić cię w stylu, do jakiego przywykłaś. Co robisz wieczorem? Moglibyśmy pójść na małą kolacyjkę, a potem, kto wie, co się zdarzy...

- Szeryfie Lambert - rzekła lodowatym tonem. - Powiedziałam nie. Jeśli dotknie mnie pan raz jeszcze, ta gorąca czarna kawa znajdzie się w bardzo strategicznym miejscu pańskiej garderoby.

Za kontuarem Nola parsknęła głośnym śmiechem. Paru gości zasłoniło twarze. Szeryf poczerwieniał, zmrużył oczy.

- Spokojnie, paniusiu, to był tylko przyjacielski gest.

- Zbyt przyjacielski, jak na mnie. - Wzięła głęboki wdech. - Czy życzy pan coś jeszcze, prócz kawy?

- Inną kelnerkę.

- Mam tylko tę jedną. - Nola wciąż jeszcze chichotała w drodze do kuchni. - Podoba mi się jej styl. Szkoda, że nie zostanie dłużej.

- Może powinnaś wyjechać natychmiast - zwrócił się szeryf do Tess.

- Co proszę?

- Mayford nie potrzebuje królewskiej hołoty, zadzierającej nosa i w ogóle - rozzłościł się. - Nawet księżniczce może się przytrafić nieszczęście, jeśli narazi się niewłaściwej osobie... Nie traktujemy przyjaźnie obcych, którzy nie szanują prawa w naszych stronach. Nie wierzyła własnym uszom.

- Czy pan mi grozi, szeryfie Lambert?

- To tylko przyjacielska przestroga.

Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał i Tess ujrzała w progu Dylana Parkera. Serce jej podskoczyło, lecz wytłumaczyła sobie, że to dlatego, bo Dylan poskromi gniew szeryfa.

- Doktorze Parker - powiedział Mose groźnym głosem. - Właśnie omawialiśmy kwestię natychmiastowego wyjazdu pańskiej przyjaciółki.

- Wyjeżdżasz natychmiast? - Dylan spojrzął na Tess.

- Wcale nie - uśmiechnęła się czarująco do szeryfa, by pokazać mu, że wcale się nie boi. - Myślę, że zostanę na uroczystości Czwartego Lipca. - Aż do tej chwili nie miała sprecyzowanych planów, ale nie pozwoli, by ten podstarzały, spasiony byczek wygonił ją z miasta.

- Helen i Velma ucieszą się, słysząc to - rzekł Dylan. A ty? - chciała spytać, lecz się powstrzymała.

- Co ci podać?

- Tylko kawę. Nie zabawię tu długo. - Usiadł w łóżu.

- Jesteś dziś wcześniej.

- Nola potrzebowała mnie na pierwszą zmianę, więc pracuję do trzeciej. - Tess włożyła bloczek i długopis do kieszeni fartucha. - Przyniosę ci kawę.

Kiedy odeszła, Dylan zwrócił się do szeryfa.

- O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Tess przyjrzała się profilowi Dylana. Nadawałby się na stary wzorzec męskiej urody z prostym nosem, mocnym podbródkiem i silnie zarysowaną linią szczęk. Jeśli ktokolwiek powinien grać w filmie, to on, a nie Mose Lambert.

- Mam pomysł, jak zebrać pieniądze na komputery do szkoły podstawowej.

- Tak? - Dylan zerknął w stronę Tess, a gdy ich spojrzenia spotkały się, przysięgłaby, że się uśmiechał. - Jaki?

Wzięła dzbanek z kawą z kontuaru i podeszła do stolika.

- Mógłbym w urzędzie miejskim podpisywać autografy i sprzedawać swoje zdjęcia.

Dylan milczał przez dłuższą chwilę.

- Myślę - rzekł wreszcie - że wszyscy już mają twój autograf, Mose. Ale to prawda, musimy coś wymyślić. Miałem kilka sygnałów od dyrekcji szkoły. Jedyny komputer, jaki mają, jest tak przestarzały, że nawet nie mogą korzystać z Internetu.

Tess oddalona o kilka metrów nasłuchiwała pilnie. Zawsze była gotowa pomóc w słusznej sprawie.

- Jestem twoim największym atutem, burmistrzu - powiedział Mose. - Jestem sławny. Wykorzystaj to.

- Chyba musimy pójść w innym kierunku - odparł Dylan, zadziwiając Tess talentem dyplomatycznym. - Musimy zebrać jak najwięcej pieniędzy. Chciałbym również zaopatrzyć w komputery gimnazjum i liceum. - Przechesał palcami włosy. - Oprócz tego pozostaje rezydencja Hotchkissa. Mam pełne ręce roboty.

To nasunęło Tess pewien pomysł. Napełniła kubek Dylana.

- Mogę coś zaproponować?

- Nie, obejdzcie się. - Mose przypominał obrażone dziecko.

Dylan spiorunował go wzrokiem.

- Śmiało, Tess.

- Mam pewne doświadczenie w zbieraniu pieniędzy -powiedziała z lekkim wahaniem. - Wygląda na to, że są tu dwa problemy, które w prosty sposób można rozwiązać za jednym zamachem.

Dylan odsunął krzesło, by lepiej się jej przyjrzeć.

- Jak to sobie wyobrażasz?

- Macie historyczny budynek, który potrzebuje renowacji i szkołę potrzebującą komputerów. Czemu nie urządzić loterii fantowej z rezydencją Hotchkissa jako nagrodą główną, a zyski przeznaczyć na zakup komputerów dla szkół? Moglibyście ogłosić to w całym kraju, a losy sprzedawać po jakieś sto dolarów.

- To nie przejdzie - powiedział Mose.

- Nie jestem pewien - mruknął Dylan.

- To już udawało się dawniej - ciągnęła Tess, spoglądając na Dylana. - Aby wszystko było zgodnie z prawem, musicie ograniczyć liczbę losów do szacunkowej wartości budynku. Możecie jednak dodać zastrzeżenie, że właściciel zwycięskiego losu jest zobligowany do odrestaurowania budynku w jego historycznej postaci. - Wzruszyła ramionami. - To tylko pomysł, może wam się spodoba.

- A wszystkie koszty - głośno myślał Dylan - można by odpisać od podatku.

Tess poczuła zapal.

- Z przyjemnością napiszę wam ogłoszenie.

- Myślałem, że wyjeżdżasz - warknął Mose. - Dylan, możemy wrócić do rzeczywistości? Moja obecność w ratuszu dałaby dziesięć dolców za autograf i co najmniej pięć od zdjęcia...

Tess oddaliła się, czując na plecach wzrok Dylana. Przeszył ją dreszcz. Niechętnie musiała przyznać, że Dylan Parker obdarzony był szczególnego rodzaju charyzmą, której nie potrafiła się oprzeć. Kiedy znajdowali się w tym samym pomieszczeniu, powietrze wydawało się naelektryzowane.

To dobrze, że wkrótce stąd wyjedzie. Wręcz doskonale.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Rezydencja Hotchkissa jako fant - parsknął Mose, gdy Tess poszła obsługiwać inne stoliki. - Co za głupi pomysł! Ta kobieta musi stąd wyjechać. Co o tym sądzisz, Dylan?

- Myślę, że się wściekłeś, bo nie chciała się z tobą umówić - odparł Dylan, popijając kawę podaną mu przez księżnę, która mieszka w pensjonacie Helen i wolny czas spędza na zabawie w psychoanalizę. Trudno o coś dziwniejszego.

- Bzdura - zaperzył się Mose i aż poczerwieniał. -Chciałem jej tylko pomóc, a ona opacznie to zrozumiała.

Dylan szczerze w to wątpił.

- Ta kobieta musi wyjechać - ciągnął Mose, zerkając nienawistnie w stronę Tess, która odwrócona plecami w jego stronę przyjmowała zamówienie trojga starszych klientów. - Miasto nie czeka z jej strony nic dobrego.

Choć Dylan zgadzał się, że Tess nie pasuje do Mayford, to nie był przekonany, że chce, by stąd wyjechała.

Wniosła nieco życia w atmosferę małego miasteczka. Po raz pierwszy od dawna Dylan budził się, oczekując z podnieceniem tego, co się wydarzy. Choć niechętnie się do tego przyznawał, oczekiwał na spotkanie z nią. Nie spieszył się wcale do życia, jakie pędził, zanim się tu zjawiała, choć wiedział, że do tego w końcu dojdzie. Księżne nie zamieniają życia w pałacu na egzystencję w Mayford.

Tym bardziej nie chciał, by Mose wygnał ją z miasta.

- W czym ci ona przeszkadza, Mose?

- Przede wszystkim, to ty sprowadziłeś tę koronowaną jejmość ze wszystkimi głupotami i będziesz odpowiedzialny za wzrost przestępczości w mieście.

- Wzrost przestępczości?

- A jak! Skoro ja sobie nie radzę z tą kobietą, ciężko będzie powstrzymać falę przestępczości.

- W Mayford trudno o kryminalistów - zauważył Dylan.

- To się zmieni dzięki tobie - oznajmił z powagą Mose. Dylan z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Nie musisz martwić się o Tess - rzekł w końcu. - Sama wyjedzie stąd niebawem. Wówczas pozostaną ci zwykle problemy na głównych ulicach Mayford.

A Dylan wróci do starej rutyny, w jaką wpadł przed pięciu laty. W dodatku Velma będzie teraz zadrezczała go plotkami na temat Tess z kolorowych szmatławców. Nieciekawa perspektywa.

Mose umoczył wąsy w kawie.

- Nie dość szybko - mruknął. - Ona jest tu obca, Dylan. Nie może mieszać się do twoich spraw!

- Daj spokój, Mose. nie siedzimy w ratuszu.

Po drugiej stronie sali Tess roześmiała się z dowcipu starego Lou Dossa.

Dylan uśmiechnął się, patrząc na nią. Samo obserwowanie jej sprawiało mu przyjemność. Będzie mu jej bardzo brakowało.

Odwrócił się do szeryfa.

- Jej pomysł ma sens i zamierzam zbadać, czy jest wykonalny. Jeśli tak, rozwiązalibyśmy wiele problemów.

Mose spojrzał na niego podejrzliwie.

- Zabujałeś się w niej?

- Że co? - Kto jeszcze używa takich wyrażeń? I czemu wszyscy mówią tylko o Dylanie i Tess? To aż tak widać? - Nie, Mose, nie zabujałem się w niej. Nie rozumiem, czemu tak niepokoi cię jej obecność. Jak już mówiłem, wyjedzie za kilka dni

- Spójrz tylko, jak ci dumnie wdzięczą się do niej. - Mose machnął wzgardliwie ręką w stronę Tess i Lou. - Ona zawraca im w głowie, otumania ich. Sam słyszałem, jak dwie osoby nazywały ją „naszą księżną”. To jest złe, bardzo złe.

Mose już zapomniał, że pół godziny temu sam próbował umówić się z Tess. Jednak odrzuciła go przy ludziach. Dylan znał Mose'a dość dobrze, by wiedzieć, że będzie za to żywił urazę. Było jasne, że zazdrościł jej popularności. Bo do tej pory sam był największą atrakcją miasta i okolicy.

- Nie sądzę, by z jej strony groziło nam jakieś niebezpieczeństwo, Mose - odparł Dylan. Nie było to do końca prawdą. To, co myślał o niej i o nich razem, było samo w sobie wystarczająco groźne.

- Twój stosunek do niej wpędzi cię w kłopoty. - Mose pokiwał ostrzegawczo palcem. - I zaszkodzi ci politycznie, więc nie rób głupstw.

- Politycznie? I co z tego? - Dylan nigdy nie pragnął być burmistrzem i nie zamierzał ubiegać się o tę funkcję w przyszłości. - Mose, chyba traktujesz to zbyt poważnie. Mam pacjentów, których muszę przyjąć po południu, więc wracam do gabinetu. Niemniej zamierzam zlecić Sarah sprawdzenie realności loterii fantowej i bardzo liczę na twoją współpracę.

Szeryf mruknął coś pod nosem i wzruszył ramionami.

- To twoja głowa pójdzie pod topór, Parker.

Tess przeszła obok, niosąc Noli zamówienia. Twarz lekko się jej zaróżowiła, oczy nabrały blasku i gdy uśmiechnęła się do Dylana, coś ścisnęło go za gardło.

- Nie martw się o mnie - rzekł Dylan, patrząc na idącą Tess. - Na pewno nie stracę głowy.

Chociaż... kto to wie?

Dylan postanowił zajrzeć do Helen późnym popołudniem. Tess wciąż była jego pacjentką, mimo że szybko wracała do zdrowia. Uważał, że powinien doglądać jej, zanim stąd wyjedzie.

- Halo? - zawołał, otwierając skrzypiące drzwi wejściowe. - Jest tu kto? - Na ogół nie było nikogo prócz Helen. Mayford rzadko odwiedzali turyści. Niemniej miło byłoby spotkać Tess zaraz za progiem, więc poczuł się rozczarowany, że jej nie zastał.

Oczywiście dlatego, że chciał ją zbadać i pójść do domu.

- Dylan? - Helen wyłoniła się z kuchni, trzymając wielką kulę ciasta. Twarz i włosy miała oproszone mąką. - Co tu, u licha, robisz?

- Przyszedłem zbadać Tess.

- Aha. - Helen znacząco uniosła brew. - I nic więcej?

- Nic a nic. - Nie miał ochoty wysłuchiwać kolejnych insynuacji dotyczących jego romantycznych uniesień w stosunku do Tess. - Gdzie ona jest?

- Obawiam się, że jej tu nie ma.

Miał przeczucie, że zaczyna się gra w dwadzieścia pytań.

- Gdzie ona jest?

- Zazdrosny? - szelmowsko uśmiechnęła się Helen. -Boisz się, że ktoś ci ją zdmuchnął, podczas gdy kręcisz się koło niej, udając, że nie jesteś zakochany? To by ci dobrze zrobiło.

Co najmniej dziesięć zastrzeżeń cisnęło mu się na usta.

- Helen, nie jestem w niej zakochany. Ledwie ją znam. - Tylko głupcy wierzą w miłość od pierwszego wejrzenia. Mężczyźni tacy jak Dylan wiedzą wystarczająco dużo, by mieć się na baczności. Mężczyźni tacy jak Dylan panują nad swoimi uczuciami. Może i jest nią trochę zauroczony, ale to nie to samo, co miłość.

- Poznałeś ją wystarczająco. - Helen uderzyła się w pierś. - Tym, a tylko to się liczy.

Nie było sensu zastanawiać się nad tym, skoro i tak Tess miała wkrótce wyjechać.

- Jestem odpowiedzialny za to, że się tu znalazła i traktuję to poważnie. Więc gdzie ona jest? Muszę ją zbadać. Jako lekarz.

Helen rozdzieliła ciasto na dwie części.

- Poszła na ryby.

Takiej odpowiedzi w życiu się nie spodziewał.

- Mówimy o tej samej Tess, prawda? Poszła na ryby?

- Owszem. Pożyczyła starą wędkę, podbierak Franka i poszła... jak to ujęła? W ciche i spokojne miejsce.

Tess łowiąca ryby. To trzeba zobaczyć.

- Jest na tyłach? - spytał, idąc w stronę tylnych drzwi. Jedną z zalet pensjonatu było to, że stał nad rzeką Moka-muchi i miał ładny pomost.

- Nie, powiedziałam jej, gdzie Frank miał swoje ulubione miejsce, blisko posiadłości Perceilville.

Dylan zastygł w pół kroku.

- Po drugiej stronie mostu?

- Tak, kochanie. - Helen była spokojna. - Po drugiej stronie mostu i w lewo ścieżką. Można iść tylko w lewo, bo w prawo dojdiesz do...

- Kiedy wyszła? - spytał nerwowo Dylan. Krew dudniła mu w uszach.

- Nie musisz krzyczeć, Dylan, słyszę cię wyraźnie.

- Helen - złapał ciotkę za ramię i spojrzał jej w oczy, mając nadzieję, iż zrozumie wagę jego słów - ten most jest niebezpieczny. Miałem kilka telefonów z informacją, że konstrukcja spróchniała na wylot. Rada miejska zamówiła barierkę, ale jeszcze nie została dostarczona, co znaczy, że każdy, kto wejdzie na most, może doznać obrażeń. Poważnych obrażeń. Dlatego muszę wiedzieć, o której wyszła Tess.

- Dobrą godzinę temu. - Helen upuściła ciasto na podłogę i załamała rękę. - Ojej, myślisz, że coś jej się stało?

Dylan gwałtownie wciągnął powietrze. Boże, byle nie to. Nie darowałby sobie...

- Jestem pewien, że nie. Jednak lepiej tam pójść i sprowadzę ją z powrotem, nim zapadnie zmierzch. - Nie wiedział, co ciemność ma wspólnego z mostem tak spójnym, jak przeżuta guma balonowa, ale nie chciał niepotrzebnie denerwować Helen.

- Och - odetchnęła z ulgą. - Leć prędko. Przygotuję kurczaki na kolację.

- Zajmij się tym - polecił jej Dylan i pospieszył w stronę drzwi, próbując zachować spokój.

Im bliżej mostu, tym bardziej się niepokoił. A jeśli coś się stało? Bo niby czemu nie? Tess spytała Helen o miejsce, a ta skierowała ją na most, który był jednym wielkim zagrożeniem. Dylan miał ochotę sprać się po gębę za to, że niczego z tym dotąd nie zrobił. Może dlatego, że wszyscy w mieście - z wyjątkiem Helen - wiedzieli o niebezpiecznym moście i unikali go.

Kiedy dojechał do mostu, serce waliło mu jak młotem. Ani śladu Tess. Miał nadzieję ujrzeć jej ubranie lub rozwiane na wietrze jasnozłote włosy, lecz widział jedynie delikatnie kołyszącą się wysoką trawę i płynącą rzekę, która mamliła pozornym spokojem.

Znał dobrze ulubione miejsce swego wujka. Znajdowało się w zakolu po drugiej stronie rzeki, za starym drewnianym mostem. Miejscowi nazywali je Halley Perch, od nazwiska starego mieszkańca, który łowił tam ryby. Burt Halley zmarł dawno temu, a most popadł w ruinę.

Gdy dotarł na skraj, potwierdziły się jego najstraszniejsze obawy. Spróchniałe belki zawaliły się o kilka metrów od brzegu. Ale nie to było najgorsze.

W dole, na brzegu rzeki, leżała nieruchomo Tess. Bluzkę miała rozdarta, jasne włosy rozsypały się wokół głowy.

Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Jakie odniosła obrażenia? Jak wyglądałby najmniej szkodliwy wariant? Złamana kończyna? Kolejne wstrząśnienie mózgu? Zerknął na most. Potem na brzeg. Bardzo wysoko. Zatrważająco wysoko.

Jeśli ona z tego nie wyjdzie, Dylan nigdy nie daruje sobie, że nie naprawił mostu, ani nie ustawił znaków ostrzegawczych... Nie odpuści sobie, że nie było go przy niej. Nie wybaczy sobie, że walczył z nią, zamiast błagać, żeby została w Mayford. Wiedział już, że po kres swoich dni będzie się zastanawiał, jakby im się ułożyło.

Czemu tak uparcie zaprzeczał uczuciom, jakie do niej żywił? Czemu nie spróbował jedynej życiowej szansy? Może - cudownym zrządzeniem losu - zostałaaby z nim w Mayford.

Zszedł ze skarpy. Gdyby zrobiła jeszcze parę kroków, wpadłaby do wody. Czy tak byłoby lepiej? Może nie odniosłaby obrażeń, lecz równie dobrze mogłaby wpaść na podwodne skały i utonąć.

Z bijącym sercem Dylan popędził wzdłuż brzegu, nie zwracając uwagi na krzaki szarpiące mu ubranie, ani na kamienie leżące na ścieżce. Musiał jak najprędzej do niej dotrzeć, póki jeszcze nie jest za późno.

Wziął ją za rękę, szukając pulsu.

- Musisz być cała - powiedział przez zaciśnięte gardło. - Nigdy się nie dowiesz, co czuję.

Wymacał puls. Dzięki Bogu, był silny. Nic jej nie będzie, powiedział sobie.

- Tess? - Delikatnie dotknął jej twarzy. Ani drgnęła.

- Chodź. - Pochylił się, by zastosować sztuczne oddychanie metodą usta-usta, gdy nagle Tess jęknęła i przyciągnęła go bliżej.

Ich usta spotkały się. Nie miał czasu na zastanowienie. Pocałowała go tak namiętnie, że nie miał innego wyboru, jak odwzajemnić pocałunek. Najwyraźniej wcale nie była ranna, tylko spragniona jego ramion równie silnie, jak on jej.

- Dylan - szepnęła w jego usta, przyciągając go bliżej wyginając w jego kierunku ciało.

- Tak.

Czuł, jak ogarnia go podniecenie. Na takie wezwanie obojętnym pozostałby jedynie nieboszczyk, a Dylan by) jak najbardziej żywy. Krew zawrzała mu w żyłach, gdy zaczął badać językiem usta kobiety, która pobudzała go zarówno fizycznie, jak i intelektualnie.

Wtedy nad wszystkim zapanowały zmysły.

Objęła go za szyję i odchyliła lekko głowę. Przesunął ustami wzdłuż policzka, smakując gładką skórę. W tym momencie nie myślał o niej jako o księżnej, osobie z zupełnie innego świata. Była kobietą, on mężczyzną, czego najlepiej dowodziły burzące się w nich hormony.

Uśmiechnęła się zmysłowo i powoli zamrugła.

W następnej chwili wyszarpnęła się z jego objęć, poprawiając cienki materiał bluzki.

- Co się stało? - Oczy miała szeroko rozwarte ze strachu.

- Jak to „co się stało?” - odparł Dylan. - Pocałowałaś mnie.

- Ja cię pocałowałam?

- Nie pamiętasz?

- E... spałam - nasrożyła się i rozejrzała wokół, jakby chciała odzyskać przytomność. - Pamiętam, że byłeś... że byliśmy... spałam!

- Jak dla mnie, byłaś całkiem przytomna. - Dylan usiłował się nie śmiać. Wierzył, że mogła być zdezorientowana, lecz dowiedział się, o kim marzy.

Wymieniła jego imię.

- To wcale nie jest śmieszne - oznajmiła Tess.

- W pewnym sensie jest. Przed paroma minutami myślałem, że nie żyjesz.

- I dlatego ranie pocałowałaś?

- Zaczynałem reanimację usta-usta, kiedy to ty mnie pocałowałaś. I nie wiem, czy spałaś, bo wymieniłaś moje imię.

Zaczerwieniła się po same uszy,

- Może próbowałam cię powstrzymać.

- Raczej nie - roześmiał się. - Zastanawiam się, czy naprawdę spałaś, czy to tylko wymówka. - Nie myślał tak, ale lubił patrzeć, jak w jej oczach rodzi się błysk oburzenia.

- Zawsze miałam twardy sen - odparła nachmurzona. Znowu poprawiła bluzkę. - Nawet w dzieciństwie nie budziły mnie burze ani fajerwerki... Mniejsza z tym, nie muszę się przed tobą tłumaczyć. Tylko dlaczego jako lekarz nie zorientowałaś się od razu, że śpię?

- Normalnie od razu bym się zorientował, ale leżałaś w pozycji odpowiadającej moim najgorszym obawom. Widzisz, Helen niechcący naraziła cię na niebezpieczeństwo. - Pokazał na most. - Tego się właśnie obawiałem.

Tess popatrzyła na most, potem na Dylana.

- I na czym polegało to niebezpieczeństwo?

- Myślałem, że spadłaś na dół. Spojrzała na niego jak na wariata.

- No, nie, Dylan. Kiedy zobaczyłam, jak bardzo zdewastowany jest ten most, postanowiłam na niego nie wchodzić. To chyba oczywiste.

Oczywiste. Popatrzył z powrotem na most. Teraz, gdy przyjrzał mu się dokładniej, stwierdził, że belki zawaliły się dawno temu i nikt nie pokusiłby się o przeprawę.

- Nie miałem czasu zbadać mostu.

- Bo byłeś zbyt zajęty badaniem mnie.

- Dokładnie tak. - Dylan odetchnął głęboko po raz pierwszy od dwudziestu minut i uśmiechnął się. - I cieszę się, że znalazłem cię w tak doskonałej formie.

- Dzięki, doktorze - uśmiechnęła się kwaśno. - Ile lat nauki na akademii medycznej wymagało nauczenie się takiej techniki badania pacjentów?

- To nie kwestia szkoły, tylko doświadczenia.

Popatrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

- Nie mogę wracać do domu w podartej bluzce.

- Nie?

- Muszę dbać o swoją opinię. - Zmrużyła oczy.

- Ja również.

- Dylan, daj mi swoją koszulę.

- No cóż, nie wiem, czy mogę - odparł, ciesząc się, że jest okazja przycisnąć ją do muru. - To ty byłaś na tyle nieostrożna, by podrzeć bluzkę.

- Wszyscy uznają, że to ty ją poszarpałaś. No - strzeliła palcami - dawaj.

W zamyśleniu potarł policzek.

- Chyba znalazłaś się w kłopotcie.

- Dylan! Proszę... - Jej pewność siebie zniknęła. Zawstydzona Tess była jeszcze ponętniejsza.

- No dobrze. - Podniósł się i pomógł jej wstać. Dłoń miała ciepłą i przez chwilę nie chciał jej wypuścić z ręki. Ale musiał.

- Mam nadzieję, że to docenisz - rzekł, rozpinając spraną dżinsową koszulę. - Nie rozbieram się przed każdą kobietą.

- Nawet, jeśli cię prosi?

- A ty prosisz? - uśmiechnął się.

Sapnęła niecierpliwie, gdy podawał jej koszulę.

- Wy mężczyźni wszyscy jesteście tacy sami.

- Wcale nie - odparł, pomagając jej wsunąć szczupłe ręce w miękką tkaninę.

- Nie? - Odwróciła się do niego. Jej błękitne oczy były jak odbicie nieba.

- Nie - odparł cicho, uświadamiając sobie nagle napięcie narastające między nimi w tym cichym i spokojnym zakątku.

Nie podeszła bliżej, lecz pochyliła twarz w jego stronę.

- Jak bardzo różnisz się od innych mężczyzn, doktorze?

- Czy to nie oczywiste?

- Z tobą nic nie jest oczywiste. Coś mi to przypomina. Co znaczyło to „nigdy się nie dowiesz, co czuję”.

O, nie.

- O czym właściwie mówisz? - Ze wstydem przypomniał sobie swoje słowa.

- Cóż, chyba jednak nie spałam. Zanim mnie pocałowałeś, powiedziałaś coś, że muszę być cała i że nigdy nie dowiem się, co czujesz.

- Ach, to? - Co miał powiedzieć? Co miał na myśli? Przed kilkoma minutami był pewien, że stało się coś strasznego i doznał całego szeregu emocji. To musiało być pod wpływem strachu. Aż do tej chwili uważał, że Tess jest ranna, no i oczywiście przyszedł też mu na myśl pocałunek. ale nie dopuszczał myśli, że mogłaby być kimś ważnym w jego życiu.

- Po prostu pomyślałem...

- Tak?

Przełknął ślinę.

- Pomyślałem, że bardzo mi przykro, że zniweczyłem twoje plany.

- I to wszystko?.

- No cóż... Kiedy zobaczyłem cię leżącą tu i pomyślałem, że stało się coś strasznego, nie mogłem oprzeć się refleksji, że jedynie przez moją nieostrożność, zamiast siedzieć gdzieś na plaży i popijać szampana... - wzruszył ramionami. - Ale to nie ma znaczenia, bo, dzięki Bogu, nic ci się nie stało.

- Czy tego właśnie pragnąłeś, Dylan? - spytała cicho, zagadkowo spoglądając mu w oczy. - Żeby popijała szampana gdzieś na plaży, zamiast być tutaj, z tobą?

Nie odpowiedział. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Patrzy! w jej przejrzyste oczy, a potem spojrzał na jej usta. Rozchyliła wargi.

Poczuł, jak tężeją mu wszystkie mięśnie. Potem, nie słuchając słabych protestów zdrowego rozsądku, pocałował ją.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Z początku pieścił jej usta delikatnie, potem coraz bardziej łapczywie. Przycisnął ją mocniej do siebie, przesuając dłonie w dół, aż do bioder.

Objęła go za szyję i wplótłszy palce we włosy, przywarła, pogłębiając pocałunek. Ich języki spotkały się, Dylan poczuł wzbierającą falę pożądania.

- Tess - mruknął, nie odrywając ust. - Może nie powinniśmy...

- Zmęczyło mnie to „nie powinnaś” - odparła, całując go mocniej.

Przesunął językiem po jej wargach, nie mogąc nadziwić się, jakie są miękkie.

- Jeśli nie przestaniemy natychmiast, nie wiem, czy zdołam się powstrzymać.

Westchnęła, gdy przyciągnął ją do siebie.

- Nie chcę przerywać.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie.

Krew zadudniła mu w uszach. Tak mocno nie pragnął dotąd żadnej kobiety.

- Dylan!

W pierwszej chwili nie dotarło to do niego. Wsunął palce w pasek szortów Tess.

- Siyszaleś coś? - spytała.

- Nie.

- Musiało mi się zdawać - powiedziała i przesunęła językiem po jego ustach.

- Dylan? - rozległo się z oddali. - Znalazłeś ją?

Helen! Przeklął otwarte przestrzenie, które dotąd tak cenił w Mayford, pocałował przeciągle Tess i odsunął się od niej gwałtownie.

- Co się stało? - spytała bez tchu i patrząc za jego wzrokiem, dostrzegła kobietę stojącą o dwadzieścia metrów od nich. Osłaniała oczy przed oślepiającym ją słońcem.

- Znalazłeś ją, Dylan?

- Znalazłem - odrzyknął. Podniecenie minęło, jakby ktoś polał go kubłem lodowatej wody. - Jest cała i zdrowa, nie masz się czym martwić.

Helen przeszukała kieszenie i wyciągnęła okulary, które włożyła na nos.

- O! Tu jesteście! Wszystko w porządku, Tess, kochanie? Jak tam?

- Doskonale - zawołała Tess. stojąc tak blisko Dylana, że miał wrażenie, iż stykają się ramionami.

- Wracaj do domu - krzyknął Dylan. - Będziemy za kilka minut.

Nawet z oddali dostrzegł błysk zrozumienia w oczach ciotki. Uśmiechnęła się i skinęła głową, zdejmując okulary.

- Nie musicie się spieszyć. - Pomachała im ręką i zawróciła w stronę pensjonatu.

- Myślisz, że coś widziała? - szepnęła Tess.

- Przejmujesz się? - zapytał Dylan, odwracając się ku niej z uśmiechem.

- Nie wiem - rzekła, patrząc mu w oczy. - Chociaż powinnam. Dobre imię i tak dalej...

Oczywiście. Księżna Teresa powinna dbać o opinię, a nie posłużyłoby jej obściskiwanie się z jakimś małomiasteczkowym doktorkiem.

- Nie martw się, twoja reputacja nie ucierpi z mojego powodu. Lepiej wracajmy.

Poszli przez wysoką trawę, od czasu do czasu stykając się rękoma. Przez kilka minut milczeli oboje.

- Przepraszam za tamto - rzekł wreszcie Dylan. - Na ogół nie jestem taki przebojowy.

- Ja też nie - powiedziała Tess. - To chyba przez nadmiar słońca, czy coś podobnego.

- Na pewno nie było to słońce - zaśmiał się krótko.

- Cóż, cokolwiek to było i tak jest bez znaczenia, skoro wyjeżdżam za parę dni. To dobrze, że Helen zjawiała się w odpowiednim momencie.

- Tak - Doskonale się stało, choć niezupełnie z powodu, o którym myślała Tess. Kiedy ostatnim razem kobieta zostawiła go w Mayford, poprzysiągł sobie, że więcej się to nie powtórzy. Byłoby głupio, gdyby kilka chwil fizycznej rozkoszy znów zmaćliło jego spokój.

- A - odezwała się po kolejnych kilku minutach niezręcznego milczenia Tess - czy zastanawiałeś się nad moim pomysłem?

- Owszem.

- I?

- I uważam, że to świetny pomysł. - Musiał to jej powiedzieć. - Naprawdę doskonały. Może się udać.

- Mam nadzieję. - Wyglądała na zadowoloną. - Z rozkoszą zobaczyłabym te dzieciaki przy ultranowoczesnych komputerach.

Miał już na końcu języka uwagę, że skoro wyjeżdża, to nie zobaczy ani dzieci, ani komputerów. Wiedział jednak, że wypominanie jej tego przysporzyłoby tylko obojgu goryczy.

- Dostaną te komputery - powiedział. - Tak czy inaczej. Już ja tego dopilnuję.

- Wierzę w to - odparła Tess. - Naprawdę.

Kiedy dotarli do pensjonatu, otworzył drzwi i cofnął się.

- Do zobaczenia.

- Nie wejdiesz?

Czy wyglądała na zawiedzioną, czy tylko chciał w to wierzyć?

- Mam jeszcze mnóstwo pracy.

Kłamał. Prawda była taka, że nie ufał sobie wystarczająco, by wdać się z nią w pogawędkę na sofie. Zwłaszcza jeśli Helen zostawi ich samych, mając nadzieję na romans młodych

Oboje wiedzieli, że nic z tego nie wyjdzie.

Tess uśmiechnęła się blado.

- Dzięki za uratowanie mnie.

- Zawsze do usług.

- Mam nadzieję, że reanimacja usta-usta nie była wybiegiem - uśmiechnęła się szelmowsko.

Od tego uśmiechu przeleciał mu prąd po grzbiecie.

- Zawsze do usług - uśmiechnął się szeroko. Przez chwilę stali, wpatrując się w siebie nawzajem. Potem Dylan siłą woli cofnął się o krok.

- Zatem spotkamy się na obchodach Czwartego Lipca - powiedział.

- Nie mogę się doczekać - skinęła głową. Pragnął natychmiast porwać ją w ramiona.

- Zapowiada się dobra zabawa - powiedział zamiast tego. - Podziękuj Helen za troskę.

- Dobrze - odparła lekko zawiedziona. Popatrzył jej w oczy.

- Do widzenia.

- Pa. - Weszła do środka. Nie obejrzała się.

Miało to tę dobrą stronę, że w przeciwnym razie Dylan nie powstrzymałby się od pochycenia jej, a wówczas pokazałby Tess. co straci, wyjeżdżając z Mayford.

Dylan doskonale orientował się, czemu Mose Lambert chciał się z nim spotkać u Noli. Wiadomo było, że zacznie mówić na temat posiadłości Hotchkissa, a wszystko razem skieruje przeciwko obecnej w lokalu Tess.

- Przykro mi, że muszę cię rozczarować, Dylan - powiedział Mose, choć wcale mu nie było przykro - ale nici z tej całej loterii.

Dylan westchnął. Mógł się spodziewać czegoś takiego. Mose czuł się urażony, że Tess go odrzuciła i teraz nie wahał się utrudnić wszystkim życie, byle jej dopiec.

- A to dlaczego?

- Cóż... - Mose wetknął kciuki za pas - wygląda na, że mamy tu problem natury prawnej. Siadaj, pogadamy o tym.

Kątem oka Dylan widział Tess. Pomagała usiąść osiemdziesięcioletniej Mary Wilkes. Emanowała takim spokojem i życzliwością, że Dylanowi zabiło mocniej serce. choć stała w drugim kącie sali.

Choćby dlatego warto było zostać i wysłuchać, co ma do powiedzenia Mose.

Dylan usiadł i wyciągnął się na krześle.

- Dobra, kto twierdzi, że są problemy prawne?

Po drugiej stronie sali Tess roześmiała się, a jego coś ścisnęło za gardło.

- Rozmawiałem z paroma prawnikami - oznajmił Mose.

- Aż uzyskałeś spodziewaną odpowiedź?

Mose poczerwieniał.

- Nie wiem, o czym gadasz.

- Dobrze wiesz.

Mose przez chwilę przyglądał mu się uważnie.

- Nie chcę, żeby miasto Mayford wpakowało się w jakieś kłopoty tylko dlatego, że burmistrz ugania się za spódniczką pięknej zagranicznej księżnej.

- Ona jest Amerykanką, Mose. Urodziła się w Ohio. - I podaje do stołu w restauracji Noli. Z blond włosami związanymi w koński ogon, długopisem za uchem i wystającym

z kieszeni fartucha bloczkiem, wyglądała na typową amerykańską ślicznotkę z obrazów Normana Rockwella.

- A właśnie! Widzisz? Wiesz o niej wszystko! Teraz przedstawiś mi jej drzewo rodowe. Właśnie dlatego przeprowadziłem własne dochodzenie.

- Dobra, dość tych sporów. Co to za problem?

- Nie można wymagać, by ktoś odnowił budynek, gdy przejmie go na własność. Możemy postawić taki warunek i tylko mieć nadzieję, że ten, kto kupi dom, doprowadzi go do pierwotnego stanu, ale nowy właściciel ma prawo nawet go rozebrać. Nic na tym nie zyskamy.

- Nawet jeśli to prawda, będziemy mieli pieniądze na inne rzeczy, jak komputery dla szkoły. W tej sytuacji jednak coś zyskujemy.

- Komputery. ~ Mose lekceważąco machnął ręką. -Wcale nie są nam potrzebne. Nauczaniem powinni zająć się nauczyciele. Nie wystarczy wpuścić dzieciaki do sali komputerowej na cały dzień.

- Chyba nikt nie ma takich pomysłów - rzekł Dylan, wiedząc, że spieranie się o cokolwiek z Mose'em nie ma sensu.

- Rzecz w tym, że pomysł tej dziewczyny jest do kim. Wracamy więc do punktu wyjścia. Chodzi o tę imprezę w ratuszu, z moją osobą jako atrakcją.

Tess ruszyła w stronę ich stolika, wyciągając długopis zza ucha. Wysunął się przy tym niesforny kosmyk włosów, a Dylan poczuł chęć poprawienia jej fryzury. Mose miał rację w jednej sprawie, Dylan był zainteresowany Tess. Jednak Mose mylił się w pozostałych kwestiach. Niezależnie od uczuć, jakie żywił do niej, nie zrobiłby nic takiego, co mogłoby niekorzystnie wpłynąć na jego własne interesy czy dobro miasta.

Tess przystanęła przy kasie i Dylan zauważył, że wkłada do szufladki napiwki, które przed chwilą otrzymała. Nola na pewno zaprotestowałaby przeciw temu.

Tess postępowiała tak, wiedząc, że Nola zorientuje się dopiero po jakimś czasie.

Rozejrzała się i zamknęła szufladę kasy. Nikt niczego nie zauważył prócz Dylana, a gdy pochwyciła jego wzrok, uśmiechnęła się i podniosła palec do ust.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, bo jakże mogłoby być inaczej?

- Dobrze, panowie - powiedziała, przystając przy nich. - Czym mogę wam dzisiaj służyć?

- Właśnie mówiliśmy o tobie, panienko. - Mose wykonał obszerny gest. - Burmistrz i ja mamy kłopot z twoim pomysłem sprzedaży posiadłości Hotchkissa.

- Ja tam nie mam żadnych problemów - zastrzegł natychmiast Dylan.

- Całe Mayford ma z tym kłopot - rzekł Mose.

- A to czemu? - zapytała spokojnie Tess.

- Ponieważ zmuszanie kogokolwiek do remontu domu jest niezgodne z prawem. Nie możemy urządzić loterii i nakazać komuś, by zobowiązał się do renowacji domu, zanim wejdzie w jego posiadanie, a tym bardziej komuś, kto już ten dom kupi. To się nie uda.

- Cóż, robiło tak bardzo wiele niekomercyjnych organizacji, więc pewnie jest to zgodne z prawem. - Wzruszyła ramionami. - Ale to nie mój kłopot.

- Jasne, że nie twój - podkreślił Mose.

- Ale niestety mój - zauważył Dylan, rzucając zniecierpliwione spojrzenie szeryfowi. Potem znów popatrzył na Tess. - Niemniej dziękuję, to był dobry pomysł.

- Wiesz - powiedziała z namysłem, postukując długopisem o policzek. - Chyba znalazłam najlepsze wyjście z sytuacji.

Dylan pogratulował jej w duchu.

- Jakie? - spytał podejrzliwie Mose.

- Cóż, skoro nie chcecie loterii, a musicie sprzedać ten dom, możecie żywić jedynie nadzieję, że nabywca odnowi go zgodnie z pierwotnym planem?

- Otóż to - potwierdził Mose. - To nam pozostaje.

- A do tej pory będzie należał do miasta?

Dylan przysłuchiwał się temu z zainteresowaniem.

- Tak jest.

Uśmiechnęła się promiennie, choć krótko.

- Doskonale. Kiedy mogę go obejrzeć?

- A po co masz go oglądać? - zaperzył się Mose. - Już ci mówiłem, że to nie twój interes.

- Wręcz przeciwnie, ponieważ zamierzam go kupić.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że chcesz kupić dom tylko po to, by dać nauczkę szeryfowi - powiedział Dylan późnym wieczorem w samochodzie. Zabrał ją po kolacji, gdy skończyła zmianę, by osobiście pokazać jej dom Hotchkissa. Zresztą tylko on miał klucze.

- Warto nawet trzykrotnie przepłacić, byle mu utrzyć nosa - odparła, zapinając pas.

- Kiepski pomysł, by kupować dom.

- I wyremontować - powiedziała ze śmiechem. - Nie zapominaj o tym.

Spojrzenie Dylana przyprawiło ją o dreszcz. Jak to możliwe, że codziennie wydawał się jej przystojniejszy? Kiedy ujrzała go po raz pierwszy, uznała za atrakcyjnego mężczyznę, a teraz, zaledwie po kilku dniach, nie może przestać o nim myśleć. Istne szaleństwo. Setki razy odtwarzała w pamięci ich pocałunki i za każdym razem chciała jeszcze.

- Czy to znaczy, że zamierzasz tu zostać? - Dylan poprawił dłonie na kierownicy. Z intonacji głosu nie mogła zgadnąć jego nastawienia, bo widziała jedynie jego profil.

Bardzo chciałaby to wiedzieć. To, czy powinna zostać, czy nie, zależało od jego stosunku do niej.

- Masz nadzieję, że zostanę, czy że wyjadę? - spytała najbardziej obojętnie, jak potrafiła.

- Mam nadzieję, że nie będę musiał odpowiadać na to pytanie.

- Wyciągnę z tego właściwe wnioski - powiedziała uśmiechem. - Ja tam nie boję się odpowiedzieć na twoje. Nie, kupno domu wcale nie oznacza, że zostanę. Wracam do Korsarii pod koniec tygodnia. - Chyba że, podpowiadał jej głos wewnętrzny, przekonasz mnie, żebym nie wyjeżdżała. Nie była to do końca prawda, bo za późno na zmianę życia. Chciałaby jednak wiedzieć, czy Dylan będzie tęsknił do niej równie mocno, jak ona do niego.

- Więc po co kupować? - spytał tak obojętnie, że zrobiło się jej głupio. A już miała nadzieję, że jego uczucia nie ograniczyły się wyłącznie do tamtych pocałunków.

- Cóż. mogę w ten sposób pomóc Mayford. Jeśli przy okazji zdołam wsadzić szpilkę szeryfowi Lambertowi w zadek, tym lepiej.

- Jesteś prawie taka zła jak on, przynajmniej jeśli chodzi o chowanie urazy.

- Wiem - pokręciła głową. - Jednak w tym przypadku zyska na tym miasto.

- Nie mówiliśmy jeszcze o cenie. - Spojrzał na nią. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że nie chce, by doszło do tej transakcji, jednak chyba nie o to mu chodziło. W ten sposób rozwiązałyby mnóstwo miejskich problemów.

- Nie martwię się o cenę. Ufam ci. - Nagle zdała sobie sprawę, że tak właśnie jest. A przecież już myślała, że nikomu więcej w pełni nie zaufa. - Zapłacę tyle, ile uznasz za stosowne.

- To jak wyładowałaś w tym garbusie?

Roześmiała się.

- Prawdę mówiąc, zawsze chciałam mieć taki samochód, ale Philippe uważał, że nie wypada, żebym jeździła czymś takim. Chyba go sobie zatrzymam, nawet jeśli musiałabym płacić za parking przez następne dwadzieścia pięć lat.

- Więc naprawdę nie zamierzasz wrócić na stałe do USA? - Dylan skręcił w ulicę, wzdłuż której rosły topole i stały stare, duże domy.

- Nie wiem, co mam robić - odparła. Potem dodała ze śmiechem: - Czuję się trochę zagubiona.

Zerknął na nią z uwagą.

- Na czym to polega?

Ledwie odważała się myśleć o tych sprawach, więc jak mogła zwierzać się z tego przed nieznanym? Nie chodziło o to, że miała z nim lepszy kontakt niż z innymi... Była wystarczająco dorosła, by rozpoznać działanie hormonów i feromonów. To jeszcze za mało, by otworzyć się przed nim. A jednak gotowa była mu się zwierzyć tylko dlatego, że ją o to spytał.

- Mój mąż i ja nie byliśmy ze sobą zbyt blisko - usłyszała własny głos. - Trudno mi się do tego przyznać, ale to prawda i choć pokochałam jego kraj, a et ludzie również mnie polubili, nigdy nie czułam się tam jak w domu.

- Ale on już nie żyje - rzekł cicho Dylan. - Czemu nie wróciłaś do Stanów po tym wypadku?

Tess spoglądała na mijane domy.

- Przede wszystkim z powodu siostry Philippe'a, Marii. Zawsze była taka nieobliczalna. Może dlatego, że w wieku dziesięciu lat straciła oboje rodziców. Akurat wtedy wyszłam za Philippe'a i traktowałam Marię jak córkę, a przynajmniej jak młodszą siostrę. Kiedy Philippe zginął, czułam, że właśnie wtedy powinnam być przy niej.

- Czy to już minęło?

- Prawie. W zeszłym miesiącu wyszła za wyższego oficera armii Korsarii. Wiem, że pokazano to w amerykańskiej telewizji jako ciekawostkę, ale w Europie było to ważne wydarzenie. Maria wreszcie się usamodzieliła.

- Jaki to ma związek z tobą?

- Chyba dojrzała do wyjścia spod mojej kurateli i bardzo tego pragnie. Skoro przestałam być już tak interesująca dla plotkarskich pism w Europie, na co przydam się Korsarii? Nadal jednak nie czuję się jak Tess McDougall z Liberty w stanie Ohio. Dlatego jestem zagubiona - westchnęła. - Wiem, że to brzmi może głupio, czy pretensjonalnie, ale...

- To wcale nie brzmi głupio - odparł Dylan, zatrzymując samochód. - Zwykły człowiek czuje się zagubiony, kiedy osiada na nowym miejscu. A ty przez małżeństwo z księciem stałaś się nagle ośrodkiem powszechnego zainteresowania... Naprawdę musiało być ci ciężko.

Łzy pociekły jej z oczu i otarła je, zanim zdążył cokolwiek zauważyć.

- Dziękuję - powiedziała. Łamiący się głos nie pozwolił dodać nic więcej.

Wjechał na parking.

- A oto i dom.

- Och! Już jesteśmy? - Spojrzała na wspaniały, lecz bardzo zaniedbany dom w stylu wiktoriańskim. Górował nad sąsiednimi domami. Miał wysokie okna i szeroki, ogrodzony ganek, który zwisał z jednej strony na łańcuchu. A z drugiej zapadał się. Trzy z dziewięciu frontowych okien były powybijane. Mimo to dom robił wrażenie. Tess wstrzymała dech.

- To ten?

Dylan wyjął kluczyki ze stacyjki.

- Właśnie ten - oznajmił z nieklamana dumą.

Tess wysiadła z samochodu i jak urzeczona poszła w stronę budynku.

- Mój Boże - szepnęła. - Jestem w domu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Dylan zatrzymał się i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

Przetknęła ślinę. Jak zdoła mu wytłumaczyć, co nagle odczuła? Pomyślałby, że zwariowała, bo widząc to miejsce pierwszy raz w życiu, ujrzała siebie mieszkającą tu. wychowującą dzieci, starzejącą się...

Byłby zupełnie przekonany o jej szaleństwie, gdyby dodała, z kim jako partnerem wyobrażała sobie życie w tym domu.

- Po prostu chciałam powiedzieć, że to wspaniałe miejsce - wyjaśniła, starając się zatrzeć w świadomości obraz Dylana przenoszącego ją przez próg.

- Nielatwo było przekonać o tym dotychczasowych potencjalnych nabywców.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Żartujesz? Nie mogę uwierzyć, że już dawno ktoś nie kupił tego domu. Jak długo stoi opuszczony?

- Z tego, co wiem. to pięć lat.

- Pięć lat? - powtórzyła zaszokowana. Skinął głową.

- Jednak mam wrażenie, że naprawdę co najmniej dziesięć lub więcej.

- Czemu? Myślałam, że wszyscy będą bić się o ten dom

- Też tak zawsze uważałem. - Podprowadził ją do drzwi frontowych i poszukał klucza. - Okazuje się jednak, że ludzie wolą kupić nowy dom, niż wydawać pieniądze na odnowienie tego. Posiadłość wymaga wiele prac. - Przekręcił klucz, otworzył drzwi i gestem wskazał drogę Tess.

- Jakiego rodzaju? Konstrukcyjnych czy jedynie wykończeniowych?

- Wszystkich. - Wzruszył ramionami. - Hydraulicznych i elektrycznych. Ściany nośne są w dobrym stanie, ale wszystko inne wymaga naprawy lub modernizacji. W sumie

koszt remontu zapewne dwukrotnie przekroczy wartość samego domu. - Zajrzał do środka i odwrócił się do niej. - Gotowa?

Skinęła głową i z sercem pełnym nadziei weszła do ciemnego holu.

Podążył za nią, zamykając drzwi wejściowe. Wewnątrz panował mrok, a mimo to dom sprawiał wrażenie przytulnego i gościnnego.

- Prąd odcięto tu już wieki temu - powiedział - ale powinniśmy gdzieś być świece... O, są - błysnęła zapalka.

Tess odwróciła się. Dylan pochylał jedną świecę, przenosząc płomynek na drugą. Podchwyciła jego spojrzenie, w momencie gdy płomienie połączyły się i odniosła wrażenie, że zawahał się przez ułamek sekundy, nim wręczył jej jedną ze świec.

- Trzymaj - rzekł. - O tej porze szybko się ściemnia. Wzięła świeczkę i przez chwilę ich palce zetknęły się.

- Nie oprowadzisz mnie? - spytała.

- Spróbuję. Prawdę mówiąc, niewiele wiem o tym domu. bo zbyt krótko mieszkam w Mayford, za to Helen zna miliony historyjek o tym miejscu. - Wziął Tess za rękę i przeprowadził przez dwuskrzydłowe drzwi. - A wszystkie beznadziejnie romantyczne.

- Co złego jest w romantyczności? - uśmiechnęła się.

- To - unióś brew - że nijak się ma do rzeczywistości.

Nie mogła w to uwierzyć. Choć sama doświadczyła tego, że bajkowy początek jej małżeństwa zmienił się w koszmarnie życie, wciąż wierzyła w miłość. Od przybycia do Mayford wierzyła jeszcze mocniej, może dlatego, że to miasto przypominało jej wysnzione miejsce, o którym marzyła przez całe życie. Za każdym rogiem natykała się na coś, co wydawało się jej znajome i dawało poczucie powrotu do domu.

Posiadłość Hotchkissa stanowiła kropkę nad „i”. Czy to dlatego, że oglądała podobne domy na starych filmach, wydał się jej bliższy od rodzinnego, czy raczej oddziaływał na nią swą magią? Instykt podpowiadał jej, że jednak magią. Przecież to nie Jimmy Stewart stojący obok dziewczyny na ekranie, tylko Dylan. Nie ma tu Irene Dunne, całującej dzieci na dobranoc i poprawiającej zasłony w sypialni. Jest za to ona,, Tess.

- Myślę, że jeśli ktoś ma wiele szczęścia - rzekła cicho - może połączyć romantyzm z rzeczywistością.

Dylan położył dłoń na jej ramieniu i odwrócił w swoją stronę.

- Uważasz, że jesteś szczęściarą? - spytał z twarzą oświetloną płomieniem świecy.

Serce jej zamarło.

- Nie wiem. - Przełknęła ślinę. - A powinnam tak uważać? Jak myślisz?

Lekko wzruszył ramionami, próbując się uśmiechnąć.

- Nie graj w kości, jeśli nie wierzysz, że masz szczęście. - Usta miał niebezpiecznie blisko jej warg. - Chcesz zaryzykować?

- Nie wiem. - Oddychała płytko.

Popatrzył jej w oczy, odstawił świeczki i pocałował ją, trzymając delikatnie w ramionach niczym porcelanową figurkę.

W chwili gdy zamknęła oczy, zobaczyła wszystko w jasnych barwach. Gdy tylko usta Dylana dotknęły jej warg, poczuła falę gorąca zalewającą jej całe ciało, a pokój, w którym stali, pojawił się przed oczyma jej wyobraźni. Wcale nie był ciemny i zakurzony, tylko zalany słońcem i wypełniony nowymi meblami.

Pod oknem stało stare pianino jej rodziców, na podłodze leżały porzrzucone kolorowe zabawki...

Tess była tak zdumiona realnością tej wizji, że gwałtownie szarpnęła się w tył.

- Przepraszam - powiedział Dylan. - Nie powinienem tego robić.

- Nie o to chodzi, tylko... - Jak to wyjaśnić, by nie wyjść na wariatkę? - ...usłyszałam hałas.

- Co to za hałas?

- Jakby coś stuknęło na górze.

- Naprawdę? - Nie wydawał się przekonany.

- Prawdopodobnie dom osiada - blefowała. - Stare domy często wydają takie dziwne odgłosy.

- Owszem. - Popatrzył na nią podejrzliwie. - W przeciwieństwie do nowych właścicieli? I co zamierzasz z nim zrobić, gdy już go kupisz? Wynajmiesz?

Ta idea nie bardzo jej odpowiadała. Nie chciała, by mieszkał tu ktoś inny. To był jej dom. W myślach już uważała go za swoją własność.

- Nie wiem. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

- Ale postanowiłaś, że w nim nie zamieszkasz - stwierdził i dodał: - Co oczywiście jest najlepszym wyjściem dla wszystkich.

Marzenia przysły jak bańka mydlana.

- Oczywiście - rzekła sucho. - Bez obawy. Nie będę ci się naprzykrzać moją obecnością w mieście.

Była zła, że próbowała wykorzystać sytuację szkoły, by zbliżyć się do niego, a w konsekwencji straciła głowę dla tego magicznego domu, podczas gdy Dylan najwyraźniej nie żywił do niej żadnych uczuć.

- Ku wielkiemu rozczarowaniu Velmy - westchnął. -Robi się późno. Pokażę ci resztę pomieszczeń. Kuchnia jest tu. - Poprowadził ją wąskim korytarzykiem do czegoś, co przypominało filmową scenografię z domu Blaszanego Drwała. Stara lodówka w jasnoblękitnym odcieniu z zamrażarką na dole, w przeciwieństwie do współczesnych rozwiązań. Pokryty laminowaną płytą stół na chromowanych nogach, chromowany blat kuchenny, a wszystko pod grubą warstwą kurzu.

Znów Tess oczyma wyobraźni zobaczyła odnowioną kuchnię i znów coś drgnęło w jej sercu.

- Ile sypialni jest na górze? - spytała podekscytowana.

- Pięć. W głównej jest kominek. Hotchkissowie naprawdę wyprzedzili swoje czasy. Do głównej sypialni przylega nawet łazienka, a w głębi jest druga, mniejsza.

- Dla dzieci - stwierdziła Tess.

- Prawdopodobnie. - Spojrzał na nią dziwnie i kontynuował: - Na parterze jest kuchnia, jadalnia, pokój dzienny, który możesz uważać za rodzinny, salonik, pracownia i jeszcze toaleta.

Tess chodziła za nim od pokoju do pokoju, podziwiając piękne dębowe posadzki i mosiężne zamocowania. Zastanawiała się przy tym, jak miasto mogło dopuścić do tego, by taki skarb podupadał, niszcząc przez te wszystkie lata.

Każdy pokój odznaczał się swoistym wdziękiem i Tess mogła wyobrazić sobie siebie mieszkającą w tym domu. Widziała, jak przygotowuje w kuchni śniadanie dla rodziny, odpoczywa wyciągnięta na obitym jedwabiem szeszlunku, czyta w bibliotece lub po prostu, popijając lemoniadę letnim popołudniem na ganku, patrzy, jak wolno upływa czas.

- To najwspanialszy dom, jaki w życiu widziałam -westchnęła, gdy zakończyli zwiedzanie.

- Lepszy od twojego pałacu nad Morzem Śródziemnym? - Dylan pytająco uniósł brew.

- Nieskończenie. Można w nim stworzyć prawdziwą rodzinę. Miejsca jest w bród - uśmiechnęła się. pomimo że jej nadzieje na założenie rodziny w tym domu rozwiały się jak dym. - Chciałabym dorastać w takim miejscu. Nie mówię, że moje dzieciństwo było złe, ale to miasto, ten dom byłyby wręcz wymarzone.

- Mnie się też zawsze podobał.

- Więc czemu go nie kupiłeś?

- Przerasta moje potrzeby - odparł. - Zwłaszcza teraz. Po co samotnemu mężczyźnie pięć sypialni?

- Nie zamierzasz ożenić się kiedyś powtórnie? - Pytanie było poważne i Tess miała nadzieję, że Dylan nie domyśli się, jak bardzo zależy jej na odpowiedzi.

- Nie wiem - odparł, spoglądając jej w oczy. - Jeśli mężczyzna dość długo nie może znaleźć właściwej kobiety, powoli robi się cyniczny.

- A gdybyś spotkał taką kobietę? Czy nie chciałbyś mieć z nią dzieci?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Czasem wydaje mi się, że spotkałem właściwą osobę - powiedział, wpatrując się w nią. - Jednak potrzebne są również odpowiednie warunki. W tej grze trzeba mieć dużo dobrych kart, szanse są marne.

Sama powiedziała coś takiego swojej przyjaciółce niespełna dwa miesiące temu. Jednak odkąd spotkała Dylana Parkera, wszystko nabrało innego wymiaru.

- No a co z tobą? - spytał z kolei Dylan. - Wyjdiesz ponownie za mąż? Będziesz miała dzieci?

- Jeśli trafi się ten wybrany - uśmiechnęła się - wtedy wszystko stanie się możliwe. Oczywiście, jak zauważyłeś, nie wiem, czy to w ogóle jest realne.

W tym momencie podmuch wiatru zgasił świece.

- Dylan? - jęknęła Tess.

- Już dobrze. - Przybliżył się do niej i otoczył ręką. Pachniał wspaniale, mydłem i męskością. Przywarła do niego wdzięczna losowi za tę chwilę i wiatrowi za zdmuchnięcie świec. - To tylko przeciąg - powiedział z pewnością siebie Dylan. - Jeśli zaczekamy chwilę i wzrok przyzwyczai się do ciemności, zdołamy dostrzec drogę powrotną.

Wciąż stała przytulona do niego bokiem, ucho miała przytknięte do jego piersi. Słyszała, jak spokojnie i miarowo bije mu serce. Nie zwierzyła się z dziwnego wrażenia, że w tym domu odnalazłaby drogę nawet w kompletnych ciemnościach.

- Zabawne, ale to miejsce nawet w ciemnościach wydaje się przyjazne - powiedziała.

- To dziwne - odparł Dylan - ale właśnie myślałem o tym samym. Byłem tu zaledwie parę razy, lecz zawsze ten dom robił na mnie swojskie wrażenie. Chyba dlatego, że przypomina domy ze starych filmów.

Tess zamurowało. To samo myślała zaledwie przed dziesięcioma minutami. Poczula kolejne ukłucie w piersiach, nie do końca uzmysłowioną tęsknotę, by tu zamieszkać i stać się częścią miejscowej społeczności. Jednak wiedziała, że to nierealne. Co innego krótki pobyt w Mayford. Ludzie lubili ją, bo była czymś nowym. Byli zachwyceni

obecnością księżnej w mieście. Może nawet Dylan byłby szczęśliwy, gdyby została jeszcze kilka dni. Przecież ją pocałował i to nie raz. Jednak wyraźnie dał do zrozumienia, że nie widzi dla nich przyszłości. Dlatego nawet najbardziej namiętne pocałunki nie mogły służyć jako podstawa do układania sonie życia w Mayford.

- Słuchaj, Tess - powiedział Dylan. - Muszę ci to powiedzieć. Nie jestem pewien, czy powinnaś kupić tę posiadłość.

Poczuła się, jakby ją spoliczkował.

- Dlaczego?

- Ponieważ ludzie w mieście zaczną uważać cię za jedną z nich. Kupno domu będzie dla nich jednoznaczne z tym, że tu zostajesz.

Zaskoczyły ją te słowa.

- Więc powiedz im, że nie zostanę i problem z głowy.

- To nie rozwiązuje sprawy. Wiesz, jacy są ludzie. Liczą na to i będą rozczarowani, kiedy wyjedziesz i nie wrócisz.

- Zatem twierdzisz, że nie powinnam kupować tego domu?

Zawahał się tylko przez chwilę.

- W zasadzie, tak. To właśnie chciałem powiedzieć. -Ton głosu był chłodny, beznamiętny.

Te słowa zabołały ją w niewyobrażalny sposób.

- Nie rozumiem cię, Dylan. Zachowujesz się, jakbym zawiodła nadzieje chłopaka z liceum.

- Sprawy tak się tu właśnie mają. W Mayford niewiele się dzieje. Twoje pojawienie się jest chyba największym wydarzeniem od powstania miasta. Od paru dni wszyscy zastanawiają się nad tym, czy tu zostaniesz. Szczerze mówiąc, nieładnie jest podsycać ich oczekiwania.

Tess była zaszokowana.

- Chciałam jedynie pomóc.

- Wiem, i doceniam to. Jednak najlepszym rozwiązaniem dla wszystkich byłoby, gdybyś wyjechała, nie kupując domu.

Ciężko było jej ukryć ból, lecz zachowała obojętny ton.

- Doskonale. Jeśli uważasz, że to najlepsze rozwiązanie... Za nic nie chciałabym nikogo rozczarować.

- Dobrze - skinął głową. - Zatem zgoda.

Wcale się z nim nie zgodziła, ale nie było sensu się sprzeczać. Dylan chciał się pozbyć jej z miasta, nawet rezygnując ze sprzedaży domu, który był mu zawadą. Naprawdę musiał pragnąć jej wyjazdu.

Ale była głupia, mając nadzieję, że poprosi ją, by została.

Jak mogła tak opacznie odczytać jego intencje? Czy tak bardzo go pragnęła, że dała się ponieść fantazji? Tylko co miały znaczyć jego pocałunki? Kolejny podobój przystojnego faceta, który zaliczył już wszystkie inne wolne kobiety w miasteczku?

W głębi serca Tess nie wierzyła w to, ale rozsądek podpowiadał jej takie wyjaśnienie sytuacji.

- Lepiej już wróć do pensjonatu - powiedziała, kiedy zorientowała się, że znajdzie drogę do wyjścia w ciemnościach. - Obiecałam Helen, że pomogę jej w przygotowaniu szarlotki na jutrzejszy piknik. Nie martw się, wyjaśnię jej, że to tylko ten jeden raz.

- Będę wdzięczny.

Nie wiedziała, czy mówił serio, czy tylko odwzajemnił jej sarkazm.

Wrócili do pensjonatu w milczeniu. Kiedy dojechali na miejsce i Dylan zaczął wysiadać z auta, by otworzyć jej drzwiczki, powiedziała mu, by się nie fatygował i poszła, nie czekając na odpowiedź.

Gdy otwierała drzwi wejściowe, usłyszała, że odjeżdża, więc zawróciła i zamknęła drzwi. Nie chciała jeszcze wchodzić do środka, by Helen ani Velma nie widziały łez, które powstrzymywane w samochodzie, zaczęły teraz płynąć strumieniami.

Usiadła na schodkach i popatrzyła na rozpościerający się przed nią widok. W ciągu swego krótkiego pobytu pokochała to miejsce. Podczas żadnej ze swych podróży - a odbyła ich w życiu mnóstwo - nie zapalała takim uczuciem do żadnego miasta. Stało się to tak nagle, że zaczęła podejrzewać, że coś w tym jest.

Może tu jest jej miejsce.

Jednak Dylan wyjaśnił jej, że tu nie pasuje.

Zwykle nie pozwalała innym się zdominować, ale w tym przypadku złożyło się tak, że nie tylko nie mogła się tu sprowadzić i zacząć wszystko od nowa, lecz w dodatku burmistrz i szeryf byliby temu przeciwni.

Dylan miał rację w jednej sprawie, choć o tym nie wiedział. Jeśli chodziło o zakup domu, to sprawiła zawód tylko jednej osobie - sobie samej. Gdzieś głęboko w świadomości wciąż przewijały się obrazy, na których żyła, kochała i starzała się razem z Dylanem.

Dlatego dobrze się stało, że wyjaśnił jej swe prawdziwe uczucia, zanim fantazje posunęły się dalej.

No dobrze, nie poradził sobie z tym jak należy. W istocie ze wszystkich spraw, które Dylan zawałił w swoim życiu, dzisiejszy wieczór przebił wszystko.

Zawieść miasto? Owszem, było w tym żdźbło prawdy, ale miasto by to przetrwało. Jedno, co przychodziło mu przyznać z trudem, gdy jeździł bez celu pustymi ulicami, to uczucie, że ona go zawiódła.

Lub raczej zawiódł sam siebie.

Pomimo wszystkich rzeczowych argumentów, Dylan wciąż miał nadzieję, że Tess zostanie, że kupi rezydencję Hotchkissa, co będzie równoznaczne z deklaracją osiedlenia się w Mayford na stałe, mimo iż twierdziła coś wręcz przeciwnego.

Powinien ją przeprosić. Niekoniecznie musiałby odkryć przed nią swe prawdziwe uczucia. Aż tyle nie musiała wiedzieć. Jednak jej propozycja kupna domu przez wzgląd

na dobro miasta była dowodem szlachetności i Dylan nie miał prawa odwozić jej od tego.

Skoro chciała kupić posiadłość i odrestaurować ją, nieważne zresztą z jakich pobudek, miała do tego prawo. Wszyscy powinni zrozumieć, że nie musi się tam wprowadzać. Powinni to zaakceptować bez zastrzeżeń.

Zwłaszcza Dylan.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Poranek Czwartego Lipca wstał jasny i pogodny, tak jak zawsze jawił się we wspomnieniach Tess. Przez wszystkie lata spędzone w Korsarii, bardzo przeżywała każdy Czwarty Lipca. Tęskniła za grillami na tyłach domów, plastikowymi basenami dla dzieci i zimną wodą sodową ze szklanych, oszronionych butelek.

Przeciągnęła się i podeszła do okna, by spojrzeć na jasnobłękitne niebo. Płynęły po nim białe obłoczki, które nie nosiły ze sobą groźby deszczu. W spokojnym powietrzu rozlegał się świergot ptaków tak głośny, jakby i one przeżywały nachodzące święto.

Tess powinna być szczęśliwa, lecz na sercu leżał jej kamień. Do późna w nocy wciąż odtwarzała rozmowę z Dylanem. Gdzie popełniła błąd? Jak mogła przeoczyć to, co stało się między nimi? Aż do ubiegłej nocy wierzyła, że coś iskrzy między nią i Dylanem.

Teraz bardziej przypominało to oddzielające ich ogrodzenie pod napięciem.

Nieważne, że jawiły się jej wizje wspólnej przyszłości. To były jedynie głupie fantazje. Oboje wiedzieli, że będzie musiała wyjechać. Przez krótką chwilę ulegli zauroczeniu i te kilka wspólnych dni zmieni się w urocze wspomnienia.

Tylko że czuła się jak idiotka.

Wieczorem Helen i Velma już czekały na nią na dole i z podnieceniem rozmawiały o tym, że Tess kupuje starą posiadłość Hotchkissa. Kiedy oznajmiła im, że jednak postanowiła nie kupować, były rozczarowane, lecz nie załamane, jak zakładał Dylan.

Może, podszeptał jej ze smutkiem głos wewnętrzny, nikogo tak naprawdę nie interesuje to, że wyjeżdżasz.

- Spytamy ją o to, kiedy zejdzie na dół - usłyszała dobiegający z kuchni głos Velmy, gdy szła korytarzem. - O! Właśnie jest! Tess, czy Dylan wyperswadował ci zakup domu Hotchkissa?

W kuchni Tess stwierdziła, że osobą, z którą rozmawia Velma, był Dylan. Postanowienie, że będzie go unikała, zachwiało się.

- Nie mówiłem jej, jak ma postąpić - powiedział zniecierpliwionym głosem.

- Lepiej milcz - warknęła na niego Velma. - Znam cię aż za dobrze. Na pewno powiedziałeś jej, że to kiepska inwestycja, bo wymaga wielkich nakładów pracy. - Spojrzała na Tess. - Mam rację, prawda? Tak ci właśnie powiedział?

Tess spojrzała na Dylana. Był jeszcze przystojniejszy niż zwykle. Szmaragdowe oczy lśniły niepokojąco, ciemne włosy rozsypane w nieładzie sugerowały, że dopiero co wstał z łóżka. W pierwszym odruchu chciała rzucić się mu w ramiona. Powstrzymało ją wspomnienie wczorajszej poważnej rozmowy.

- Rzeczywiście nie jest to dla mnie korzystna inwestycja - rzekła. Emocjonalnie, owszem. Finansowo przystępna. -Po prostu... to nie dla mnie.

Velma wyglądała na rozczarowaną.

- Dlaczego? - zawodziła jak dziecko, które chce jeszcze jeden kawałek ciasta. - Wszyscy cię tu kochają.

- Ponieważ ona nie zamierza tu zostać - wtrącił Dylan, nie spuszczać wzroku z Tess. - Więc co ci za różnica, skoro i tak wyjedzie. I tak byłabyś zawiedziona.

- Czy to prawda? - spytała ją Velma. - Rzeczywiście nie chcesz tu nigdy przyjechać, nawet z wizytą?

- Wydaje mi się, że nie pasuję do was - powiedziała Tess, nie patrząc na Dylana, choć czuła na sobie jego palący wzrok.

- Kpisz sobie ze mnie? - Velma spojrzała na Dylana. - Pozwolisz jej tak myśleć?

- Nie mogę sprawić, by myślała inaczej.

- Może zmieniałaby zdanie, gdyby wiedziała, ile dla nas znaczy. Bo tak jest, Tess, naprawdę. - Velma trąciła Dylana łokciem. - No powiedz jej. Przecież nie chcesz, żeby wyjechała, prawda? Więc powiedz jej to.

Spojrzał na Tess i zawahał się przez moment.

- Niczego nie mogę jej narzucić - rzekł wreszcie. Przez chwilę Tess miała wrażenie, że chce coś dodać.

Czekała na to z nadzieją, lecz Dylan milczał. Modląc się, by nikt niczego nie wyczytał z jej twarzy, przeniosła wzrok na stary metalowy zegar na ścianie.

- Piknik zaczyna się za godzinę, a Helen chciała, żebyśmy pomogli jej załadować samochód.

- Świetny pomysł. - Dylan nie czekał na odpowiedź Velmy. Równie mocno jak Tess pragnął zmiany tematu. -Potrzymaj drzwi, ja wezmę ciasto.

- Ja się tym zajmę, skarbie - wtrąciła opryskliwie Velma. - Wy tymczasem wyjaśnijcie sobie wszystko

- Nie bardzo wiem, co tu jest do wyjaśniania - rzeki nieco zmieszany Dylan, gdy zostali sami.

- Wydaje mi się, że Velma żywi romantyczne złudzenia na nasz temat i za nic nie chce z nich zrezygnować. - Tess przyglądała mu się bacznie.

- To po prostu głupie. - Spojrzał jej prosto w oczy. -Nigdy nie moglibyśmy być razem.

Sama się o to prosiła, ale i tak zabolalo.

- A dlaczego nie? - spytała. Zaskoczyła go tym pytaniem. - Nie twierdzę, że moglibyśmy - dodała pospiesznie. - Zastanawiam się jedynie, czemu tak uparcie twierdzisz, że to niemożliwe. - Była zła, że w jej głosie pobrzmiwała błagalna nuta, skoro jasno dał jej do zrozumienia, że nie jest nią zainteresowany. - Zupełnie, jakbym chorowała na jakąś zakaźną chorobę.

- Należysz do świata koronowanych głów i nie chodzi tu o żadną chorobę - uśmiechnął się kwaśno. - Jak zwykły śmiertelnik mógłby ci zapewnić życie, do jakiego przywykłaś?

- Tak uważasz? Sądzisz, że nie mogłabym się zainteresować, jak to ująłeś, „zwykłym śmiertelnikiem”? - Czy myślał tak naprawdę, czy dlatego się wycofał? .

- To, co myślę; nie ma większego znaczenia - odparł beznamiętnym tonem. Dźwignął tacę z ciastem Helen. -Przytrzymasz mi drzwi?

Chciała z nim polemizować, zatrzymać go, wszystko wyjaśnić, lecz nie mogła. Był już w progu, gdy udało się jej pozbierać myśli,

- Poczekaj.

Przystanął i obejrzał się.

- Na zewnątrz jest gorąco. Ciasto wyschnie, jeśli nie dostarczę go szybko do stoiska na festynie.

Tess z rezygnacją pokiwała głową. Dał jej wyraźnie do zrozumienia, że już skończył. Ta rozmowa nie prowadziła do niczego. Może pocieszał ją tylko, twierdząc, że nie jest dość dobry dla niej, lecz myślał akurat na odwrót? Zresztą, nieważne, co myślał, i tak już podjął decyzję.

W każdym razie nie bardzo mogła klócić się o swoje miejsce w Mayford, skoro nawet nie wiedziała, czy kiedykolwiek wróci do Stanów Zjednoczonych. Sęk w tym, że nie miała pojęcia, gdzie jest jej miejsce w świecie.

Tess przytrzymała Dylanowi drzwi i poszła za nim do otwartego bagażnika auta Helen. Włożył ciasto do środka, wyprostował się i pokazał ręką na garbusa, którego Merv podstawił wczoraj i odmówił przyjęcia zapłaty.

- Widzę, że odzyskałaś samochód.

- Tak

- Możesz nim pojechać, jeśli chcesz, ale to nie ma sensu. Podwieźć cię?

- Pewnie - odparła wbrew zdrowemu rozsądkowi.

- Głupio byłoby jechać dwoma autami i marnować... benzynę,

- Jak to jest daleko?

- Nie wiem - mruknął, spoglądając na zegarek. - Chyba pójdę po Helen i Velmę.

W tej samej chwili obie panie pojawiły się w drzwiach.

- Jedźcie przodem, ruszymy w chwilę po was - krzyknęła Velma.

Dylan i Tess wsiedli do furgonetki.

- Mam nadzieję, że ciasto Helen wytrwa w bagażniku - powiedziała Tess, gdy wyjechali na główną drogę. - Jest ze trzydzieści stopni, a ona się ciężko nad nim napracowała.

- Nie martw się - odparł Dylan, okrążając ratusz. - Wytrzyma.

- Ale w bagażniku musi być piekielnie gorąco - martwiła się Tess. - Słuchaj, tu jest stacja benzynowa. Może kupimy trochę lodu i podrzucimy Helen? Tak, żeby tylko ciasto przetrwało drogę. Słowo daję, Dylan, piekła je od drugiej rano.

Dylan mruknął coś i zjechał z drogi.

- Co? - spytała Tess.

- Jesteśmy - oznajmił z lekkim zażenowaniem.

- Co? Tu? - Tess rozejrzała się dokoła. - Chciałeś oszczędzić benzynę na dwuminutowej trasie?

- No... miejsc do parkowania nie mamy za wiele...

Tess popatrzyła na rozpościerającą się przed nimi łąkę.

Doliczyła się kilkunastu równo poustawianych aut, a zmieściłoby się jeszcze kilkaset.

- Dylan - rzekła z uśmiechem - czy istniał jakiś szczególny powód, żebyś mnie tu przywiózł?

- Nie bądź śmieszna. Po prostu bałem się wsadzić cię za kierownicę, jeszcze byś zabłądziła.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Całe miasto liczy sobie niespełna pięć kilometrów kwadratowych. Chyba jakoś odnalazłabym drogę do cywilizacji. - Coś mówiło jej, że po prostu chciał być z nią.

Wysiedli z furgonetki i poszli na szczyt wzgórza, gdzie zebrało się już z pięćdziesiąt osób. Zachwycone dzieci biegały i bawiły się wszędzie. Ktoś prowadził kuczki zaprzęgnięte do wózka, a wszędzie było pełno kolorowych baloników. Kilka kramów oferowało zabawki, a niektórzy rodzice rozstawili wymyślne baseny dla dzieci ze zjeżdżalniami włącznie.

- To wręcz niesamowite - zachwycała się Tess, gdy szli przez łąkę. Opodal ustawiono rząd grilli ogrodowych, a kilku mężczyzn imitowało walkę szermierczą na szpikulce.

- Poczekaj, aż skosztujesz hamburgera Buda Harrisa -rzeki Dylan. - Dodaje do nich siekaną cebulę i chrzan.

- Mmm - uśmiechnęła się Tess, wdychając zapach dymu z węgla drzewnego. - Od lat nie jadłam hamburgera.

- Od lat?

Skinęła głową.

- W Korsarii nie ma budek z hamburgerami i na ogół nie podaje się ich na oficjalnych przyjęciach.

- Doktorze Parker! Doktorze Parker! - Mała, najwyżej czteroletnia dziewczynka z rudymi kędziorkami i w fartuszku biegła w stronę Dylana, trzymając miniaturową flagę amerykańską na drzewcu wielkości ołówka. Wpadła mu na nogi.

- Ojej! Ostrożnie, Amy! - Schylił się i podniósł małą. zręcznie wyluskując jej flagę z piątki, żeby się nią nie skaleczyła. - O co chodzi?

- Musi pan zobaczyć fort, jaki zbudowaliśmy! - Dziewczynka pokazała na bawiącą się w piaskownicy grupę dzieci.

- Doskonale. - Zerknął na Tess. - Chcesz zobaczyć fort?

Na widok tego, jak trzymał dziecko, Tess poczuła ukłucie w sercu. Tego właśnie pragnęła. Czemu skusiło ją coś, co okazało się jedynie wspaniałą fantazją? Przecież zawsze pragnęła miłych sąsiadów, rodziny, dzieci, miłości. Czy jest sposób na spełnienie tych marzeń?

Czy mogłaby być szczęśliwa z Dylanem? Nagle nadzieja na to wzmogła się tak bardzo, że ścisnęło ją coś w gardle, nie pozwalając mówić. Nie mogła zostać z nim, bo bała się, że gdy odzyska głos, wykrzyczy wszystko, co do niego czuje.

- Lepiej sprawdzę, czy nie trzeba pomóc Helen - powiedziała Tess, starając się zachować normalny tembr głosu.

Dylan spojrział na nią dziwnie i zatknął jej flagę za ucho jak długopis.

- To tam. Miłego Dnia Niepodległości.

Tess popatrzyła w ślad za nim, potem wzięła miniaturową flagę i przyjrzała się jej dokładnie. Kolory miała jaskrawe, materiał mocny. Amerykański sztandar. Jej sztandar. Barwy jej ojczyzny.

Zbyt długo była za granicą.

W tym momencie pojęła, że nie powinna znów wyjeżdżać. Ta maleńka flaga, zwykła zabawka, reprezentowała siłę, godność i wolność, idee, z którymi dorastała. Choć nigdy nie odwróciła się od Ameryki, która zawsze pozostała jej ojczyzną, a wszyscy mówili o niej jako o „amerykańskiej księżnej”, to od ślubu z Philippe'em spędziła tu w sumie dwa miesiące.

Teraz zapragnęła wrócić do domu.

A dom był tu, w Mayford, razem z Dylanem.

Gdy tylko podjęła decyzję o powrocie, poczuła, jakby kamień spadł jej z serca. Resztę popołudnia spędziła, krojąc szarlotkę i rozmawiając z mieszkańcami Mayford. Większość orientowała się, kim jest, lecz mało kto wiedział, że mieszkała w pensjonacie Helen. Wszyscy traktowali ją z szacunkiem i zarazem byli bardzo życzliwi, co zdarzyło się jej po raz pierwszy w życiu. W ciągu tego popołudnia naprawdę pokochała Mayford.

Również wzrosło jej zauroczenie Dylanem, choć sądziła, że to niemożliwe. Wszyscy opowiadali jej coś o doktorze. Dowiedziała się, jak przekonał małego Tommy'ego Johnsona do kolejnego zastrzyku wzmacniającego, wmawiając mu, że robi mu tatuaż, jak naprawił przeciekający dach pani Regan, która uskarżała się na przeziębienia i jak

uratował konia, który wpadł do basenu. Wszyscy pamiętali zabawną anegdotkę, gdy doktor Parker wyplątywał upartą papugę z tupecika starego Kena Shivera.

Dylan Parker w niczym nie przypominał znanych Tess mężczyzn i z każdą chwilą coraz bardziej chciała zostać. A jeśli już go nie zobaczy?

Dręczyła ją ta myśl.

Wkrótce zaczęła się zastanawiać nad znalezieniem jakiegoś powodu, by zostać i pobyć jeszcze trochę z Dylanem, który być może odwzajemni wreszcie je uczucia. A gdyby znów zwichnęła kostkę?

- Wszyscy mówią tylko o tobie - oznajmił jej pod wieczór Dylan. Przyniósł jej jednego z zachwalanych hamburgerów Buda i butelkę domowego piwa Marybeth Newsome.

Na całym terenie stały pozatykane pochodnie na żerdziach, a mężczyzna, którego Tess widziała kilka razy u Noli, zapalał je po kolei.

Dylan w takim oświetleniu wyglądał zabójczo.

- A co mówili? - spytała w miarę obojętnie. Spróbowała hamburgera. Dylan miał rację, smakował wspaniale. Ciemne, cierpkie piwo stanowiło idealne dopełnienie. Kiedy ostatni raz popijała hamburgera piwem? Nawet nie pamiętała.

- Mówią, iż chcą, żebyś została i że jestem durniem, ponieważ namawiam cię do wyjazdu.

- Aha. - Łyknęła piwa i pokiwała głową. Serce zabiło jej mocniej. - Pewnie Velma wszystko im powiedziała.

- Na to wygląda.

- Zamierzasz to jakoś wyjaśnić?

Napił się ze swojej butelki i pokręcił głową.

- Nie ma co wyjaśniać. Jestem głupkiem. Nie powinienem odradzać ci kupna tego domu.

- Nie? - spytała ostrożnie, mimo iż serce waliło jej jak młotem. Nie chciała wyglądać na podekscytowaną bardziej, niż była.

- Nie. To nie moja posiadłość i nie powinienem mówić ci, co masz robić.

Wzięła głęboki wdech.

- Czy to jedyny powód, dla którego żałujesz, że zniechęcałeś mnie do kupna?

- Nie - odparł po chwili wpatrywania się w jej oczy.

- A jaki jeszcze?

Odstawił swoje piwo na składany stolik i to samo zrobił z jej butelką.

- Możemy porozmawiać na osobności?

Skinęła głową, mając nadzieję, że on nie widzi, jak bardzo jest roztrzęsiona.

- Dobrze.

Wzięł ją za rękę i wyszli z tłumu w stronę rzeki. Milczeli przez te dwie minuty, lecz mocno trzymali się za ręce. Tess czuła wręcz gorąco oblewające ją od tego dotyku.

Noc zapadała szybko i na południowym nieboskłonie zajaśniała jakaś gwiazda.

- Wenus - rzekł Dylan - świeci dziś niezwykle jasno.

Istotnie tak było, lecz Tess uznała, że czyste powietrze

wokół Mayford sprawia, iż wszystkie gwiazdy i planety widać wyraźniej.

- Czy to właśnie chciałeś mi powiedzieć? - Zatrzymali się na skraju nadrzecznej skarpy. Dylan odwrócił Tess w swoją stronę.

- Nie. Chcę powiedzieć, że myliłem się, mówiąc, iż sprawisz zawód całemu miastu, kupując posiadłość Hotchkissa. Przepraszam...

- I coś jeszcze?

Popatrzył w gwiazdy i westchnął głęboko.

- To nie o mieszkańców miasta się obawiałem, tylko o siebie.

- Co? - Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Właśnie w tej chwili spełniały się jej marzenia. Może Wenus świeciła jaśniej tej nocy, bo chciała pomóc Tess.

W oddali rozległ się głośny trzask i pierwszy fajerwerk wystrzelił w niebo.

- Tak, o siebie - ciągnął Dylan. - Wiem, że to szaleństwo sądzić, iż kobieta taka jak ty, z twoją pozycją, mogłaby osiedlić się w miejscu takim jak to i wyjść za miejskiego lekarza, ale... - kolejna raca oświetliła mu twarz na czerwono - miałem taką nadzieję.

Serce skoczyło jej jak szalone.

- Och, Dylan - szepnęła.

- Wiem, wiem, to głupota - pokręcił głową. - Szybko zdałem sobie z tego sprawę. Nigdy się nam nie uda. Ty to kawior i szampan, a ja... - wzruszył ramionami - hamburgery i piwo. Tego się nie zmieni.

- Lubię piwo i hamburgery - powiedziała Tess, ciesząc się, że mrok skrył jej rumieniec.
- Szczerze mówiąc, przejadł mi się kawior z szampanem.

Przechylił na bok głowę.

- Czy dobrze zrozumiałem, co mówisz?

- Czy dobrze zrozumiałam, o co pytasz?

Błysnął zębami w uśmiechu.

- A jeśli? Jaka będzie odpowiedź? Odwzajemniła uśmiech, serce waliło jej tak mocno, że dziwiła się, że wszyscy tego nie słyszą.

- Takich pytań nie zadaje się teoretycznie.

Wziął ją za rękę, w chwili gdy kolejna eksplozja barw rozjaśniła niebo nad ich głowami.

- Więc dobrze, Tess. Wiem, że to szaleństwo, że spotkaliśmy się zaledwie kilka dni temu, ale mam wrażenie, iż znam cię od zawsze. Kiedy pomyślę, że wyjedziesz i nigdy

nie wrócisz, czuję się, jakbym miał stracić część siebie... - urwał. - Kiepsko mi to idzie.

- Po prostu mów, co czujesz - ośmielała go Tess.

- Cóż - wziął głęboki wdech - życie nie jest takie samo, jak było, odkąd tu jesteś, i jestem pewien, że nie będzie takie samo po twoim wyjeździe. Kocham cię i pragnę, byś została moją żoną. Proszę, żebyś została i wyszła za mnie.

Tess zapiekły oczy. Proponował jej życie, jakiego zawsze pragnęła. Po tych wszystkich latach robienia dobrej miny do złej gry, los wreszcie spełniał jej marzenia o miłości, domu i rodzinie u boku mężczyzny, który oferował jej to wszystko, czego nie chciał dać Philippe.

Czy mogła to przyjąć?

Czemu nie? Teraz Maria była oficjalną głową Korsarii. Tess nie była już potrzebna. Rosnąca popularność Marii spychała ją na drugi plan. Nadeszła pora, by zwinąć żagle i zająć się własnym życiem.

U boku Dylana Parkera.

Wreszcie usłyszała upragnione słowa z ust właściwego mężczyzny.

- Nie mogę w to uwierzyć - rzekła zmienionym głosem.

- Sam nie mogę w to uwierzyć, ale jeśli wyjedziesz, wszystko będzie nie tak. Proszę, Tess. Wyjdź za mnie.

- Tak - odparła ze łzami. - Wyjdę.

Porwał ją w ramiona i zbliżył usta do jej warg.

Wszystko było cudowne. Od delikatnego posmaku piwa w jego oddechu, po męski zapach Dylana. Pocałunek zniewolił Tess.

Kiedy złączyły się ich języki, fajerwerki namiętności w jej piersi szły o lepsze z tymi na niebie nad Mayford. Z całej siły pragnęła czegoś więcej.

Ale na to przyjdzie czas później.

Przywarła do niego szczęśliwa jak nigdy w życiu. Nie było w niej podświadomej ostrożności, jaką czuła przy mężu, ani lęku, że powie lub zrobi coś nie tak. Z Dylanem mogła być sobą i wiedziała, że on i wszyscy mieszkańcy ją zaakceptują.

Całowała go mocno w blasku rozrywających się nad rzeką fajerwerków.

Nagle coś bardzo mocno błysnęło z bliska.

- „National Examiner” dziękuje za piękne zdjęcie, księżno.

Zaskoczona, oderwała się od Dylana i znalazła się oko w oko z obiektywem aparatu fotograficznego.

- Hej! - zawołał rozgniewany Dylan, ruszając w stronę wysokiego, chudego fotografa. - Co, do cholery, robisz?

- Pracuję.

- Oddawaj film. - Oczy Dylana pociemniały.

- Niestety, nic z tego - odparł fotograf, z lękiem w oczach. - A jeśli tkniesz mnie choć palcem, pozwę do sądu twoją piękną księżnę, więc lepiej się zastanów.

Dylan przypominał gotowego do ataku drapieżnika, lecz kiedy fotograf zagroził Tess. pohamował się.

- Nie denerwuj się, Dylan - powiedziała z rozpaczą. -Przywykłam do tego.

- Dylan, tak? - Natręt wyjął z kieszeni notes i zaczął pisać. - Zapewne Dylan Parker, miejscowy burmistrz. Lubisz facetów na stanowiskach, księżno?

- Odczep się od niej - wycedził z wściekłością Dylan. -Albo dopilnuję, żebyś już nigdy nikogo nie pozwał do sądu.

- Dylan, proszę. - Tess wzięła go za ramię.

- Słusznie, księżno. - Fotograf puścił do niej oko. - Teraz proszę wybaczyć, ale przeprowadzę kilka wywiadów z obywatelami Mayford. Zobaczymy, czy chcieliby mieć wśród siebie koronowaną głowę.

Tess kurczowo trzymała rękę Dylana. Mięśnie miał napięte jak postronki.

- Chwileczkę, kto wam powiedział, że tu jestem?

- Otrzymaliśmy anonimową informację - odparł fotograf. - Zadzwonił jakiś facet i powiedział, że księżna romansuje z burmistrzem. Nie wierzyliśmy, ale pomyślałem, iż nie zaszkodzi sprawdzić. No i sprawdziłem.

Ze łzami w oczach patrzyła, jak wrócił do tłumu. Powinna była wiedzieć, że nie zdoła uciec. Wybrała sobie kiedyś takie życie i nieistotne, że teraz żałuje. Jak sobie posłała, tak się teraz wyśpi.

Sama.

- Przepraszam, Dylan - rzekła roztrzęsionym głosem.

- To nie twoja wina - odparł z wściekłością, obserwując odwrót natręta. - Powiniennem kazać go aresztować - roześmiał się. - Oczywiście, biorąc pod uwagę, że to Mose pewnie ich powiadomił, nie ma co liczyć na jego pomoc.

- Nie zrobił nic nielegalnego. - Tess była zrezygnowana. - To miejsce publiczne. Ma prawo tu przebywać, tak jak i my.

- Chyba że cię molestuje.

Westchnęła. Ale była niemądra, myśląc, że się uda. Jej marzenia o pozostaniu w Mayford i ułożeniu sobie życia z Dylanem były jedynie fantazjami.

- Nie możesz bić się z każdym, kto się mną interesuje. Zgodziłam się na to, wychodząc za Philippe*a. Nikt nie obiecywał mi wówczas, że zostawią mnie w spokoju, jeśli on zginie lub ja wyjadę z Korsarii. Jestem ciekawostką, księżną w świecie, w którym koncepcja monarchii, choć przestarzała, jest nadal popularna. Zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie starał się to wykorzystać.

Objął ją i przytulił mocno.

- Chciałbym móc cię jakoś chronić.

- Nie możesz - odparła, prostując się i wyrwijąc z jego objęć, choć było to najtrudniejsze posunięcie w jej życiu. - Ja za to mogę cię przed tym uchronić.

- O co ci chodzi?

- Nie mogę wyjść za ciebie. - Powiedziała to. W ciągu piętnastu minut z najszcześniejszej kobiety na świecie stała się najbiedniejszą. Wiedziała, że ból serca nigdy nie ustąpi, lecz przynajmniej podjęła słuszną decyzję. - Nie mogę ci tego zrobić. Wierz mi, że zmiana spokojnego życia na publiczne nie jest niczym dobrym.

- Jestem gotów zaryzykować. Westchnęła i pokręciła głową.

- Nie wiesz, co mówisz.

- Owszem, wiem. - Wziął ją za ramiona i spojrzał głęboko w oczy. - Mówię, że chcę cię poślubić, nawet jeśli zjadą się wszyscy brukowi dziennikarze z całego świata. Nie pozwolę, by tacy faceci - machnął ręką - czy ktokolwiek inny nam w tym przeszkodził.

- Chciałabym ci wierzyć, ale nie masz pojęcia, w co się pakujesz

- Kochanie, nikt z nas nie ma pojęcia, ale będziemy mieli całe życie, żeby się o tym przekonać. Chodź. - Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę tłumu.

- Co robisz?

- Zobacysz.

Poszedł prosto do fotografa, który robił zdjęcia mizdrzącej się Velmie. Pewnie wygadała już wszystko, co wiedziała o Dylanie i Tess, ale nie dbał o to. Jeśli jest to cena za bycie z Tess, zapłaci ją.

- Przepraszam. - Klepnął go w ramię. Fotograf obejrzał się podejrzliwie.

- Ostrzegam, że...

- Mam dla ciebie nowinę - przerwał mu Dylan.

- Że co? - Mężczyzna wyprostował się

- Mam dla ciebie nowinę. - Przyciągnął bliżej Tess, obejmując ją ochronnym gestem. - Właściwie to mamy ją oboje.

- Naprawdę? - niedowierzająco spytał fotograf. - A jaką?

Dylan spojrział na Tess i uśmiechem dodał jej otuchy.

- Księżna Teresa wychodzi za mąż.

- Za kogo?

- Za mnie.

- O mój Boże! - krzyknęła Velma. - Pobierają się? Ekstra!

Podbiegła zdezorientowana Helen.

- Co się stało? Coś złego?

- Dylan i Tess się pobierają! - powtórzyła Velma, zanim ktoś zdążył dojść do słowa.

Helen zrobiła zdumioną minę.

- Czy to prawda? - spytała, patrząc to na Dylana, to na Tess.

Wokół gęstniał tłum. Błyskał flesz reportera. Tess słyszała, jak wieść rozchodzi się falą wśród zebranych.

- Tak, to prawda - oznajmił Dylan. - Wszyscy jesteście zaproszeni. - Zerknął na fotografa. - Nawet ty.

Ten był zachwycony, choć nieco zażenowany.

- To miło z twojej strony. - Wyjął telefon komórkowy i powiedział: - Mam coś wielkiego.

- Potem zawahał się i spytał: - Nie żartujesz sobie ze mnie, co? Bo jesteś zły z powodu tych zdjęć?

- Obeszłoby się bez ciebie i twojego aparatu - rzekł Dylan. - Ale skoro dla spokoju Tess muszę być miły dla ludzi takich jak ty, to trudno.

- Dylan, na pewno tego chcesz? - spytała Tess, choć знаła odpowiedź. Więcej, wierzyła mu.

- Oczywiście, że chcę - odparł, całując jej usta. - Pytanie brzmi, czy ty również tego chcesz?

Uśmiechnęła się i objęła go za szyję.

- Chcę. - Pocałowała go, a tłum zaczął wiwatować. Znowu błysnął flesz.
- Możesz przekazać swoim czytelnikom - rzekł potem Dylan reporterowi - że żyli długo i szczęśliwie, bo to jedyna bajka, jaką znam, która stała się prawdą.

Pochylił się i pocałował Tess, rozpoczynając długą serię pocałunków, które miały trwać przez całe życie.

EPILOG

Artykuł opublikowany w „National Examiner”, 15 lipca roku...

Była księżna Teresa z Korsarii wyszła za mąż w ubiegły weekend. Skromna ceremonia odbyła się w kościele pod wezwaniem Świętej Nadziei w Mayford, stan Karolina Północna.

Trzydziestopięcioletni pan młody, Dylan James Parker, jest burmistrzem Mayford, a w dodatku prowadzi praktykę lekarską w mieście. Księżnę poznał na początku lipca, wpadając na nią swoim samochodem, w wyniku czego doznała wstrząśnienia mózgu i skręcenia kostki.

Choć państwo młodzi odmówili udzielenia wywiadu, świadkowie donoszą, że są nieprzytomnie szczęśliwi i tworzą „idealną parę”. Po krótkiej podróży poślubnej do bliżej nieokreślonego miejsca w Outer Banks, nowożeńcy przeprowadzą się do okazałej posiadłości w stylu wiktoriańskim, znajdującej się na obrzeżach miasta.

- To takie romantyczne - oświadczyła mieszkanka miasta, Velma Currey, właścicielka salonu fryzjerskiego „Kędziorek”, położonego na głównej ulicy. - Ja pierwsza ją rozpoznałam i od razu wiedziałam, że to idealna kobieta dla Dylana. Zupełnie, jakby życie naśladowało bajkę. - Zapytana o to, czy nowożeńcy planują mieć potomstwo, panna Currey oświadczyła: - Nie słyszałam, żeby o tym mówili. Wszyscy będziemy mile zaskoczeni, jeśli tak. Najwyższy czas, by Dylan miał dzieci. Moja mama i ja powtarzamy mu od lat, że byłby wspinałym ojcem.

- Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że mamy Tess, naszą własną księżnę - oświadczyła Ethel Moore, miejscowa bibliotekarka i instruktorka tańca w YMCA. - Kiedy po raz pierwszy ją ujrzałam, powiedziałam, że wygląda jak księżniczka z bajki. Nie wiedziałam, że to prawda. Jej obecność, to prawdziwe błogosławieństwo i jestem pewna, że będzie to trwało dalej, jeśli ona i Dylan zdecydują się na dzieci. Jego ciotka i kuzynka wciąż powtarzają mu, że byłby wspinałym ojcem i mężem.

Inni mieszkańcy nie są przekonani, czy to takie szczęśliwe wydarzenie.

- Same z nią kłopoty - oświadczył jeden z miejscowych przedstawicieli władzy, który pragnie zachować anonimowość. - Mam złe przeczucia - Zapytany o szczegóły wzruszył ramionami i dodał: - Ona nie jest z tych stron. Nie powinna wtrącać się do naszych spraw. Przewiduję poważne kłopoty w karierze politycznej burmistrza.

Szczęściem dla księżnej Teresy, znanej teraz jako Tess Parker, która zamierza zająć się nauczaniem początkowym w miejscowej szkole, ten przypadek niechęci wydaje się jednostkowy. Reszta mieszkańców Mayford w Karolinie Północnej jest zachwycona jej obecnością, a trudno o kogoś bardziej szczęśliwego niż pan Parker.

- Pozwoliła mi uwierzyć w cuda - powiedział, gdy wychodzili z kościoła. - Teraz zamierzam spędzić resztę życia, próbując ją uszczęśliwić.

Na to promienna panna młoda odparła z uśmiechem: - Już to uczyniłeś, Dylan. Bardziej niż możesz sobie wyobrazić.